

ZNAD WILNI



DWUTYGODNIK

Rok VII, nr 4 (161)

Wilno, 16-29 lutego 1996

cena 60 ct.
(1 zł., indeks 383678)

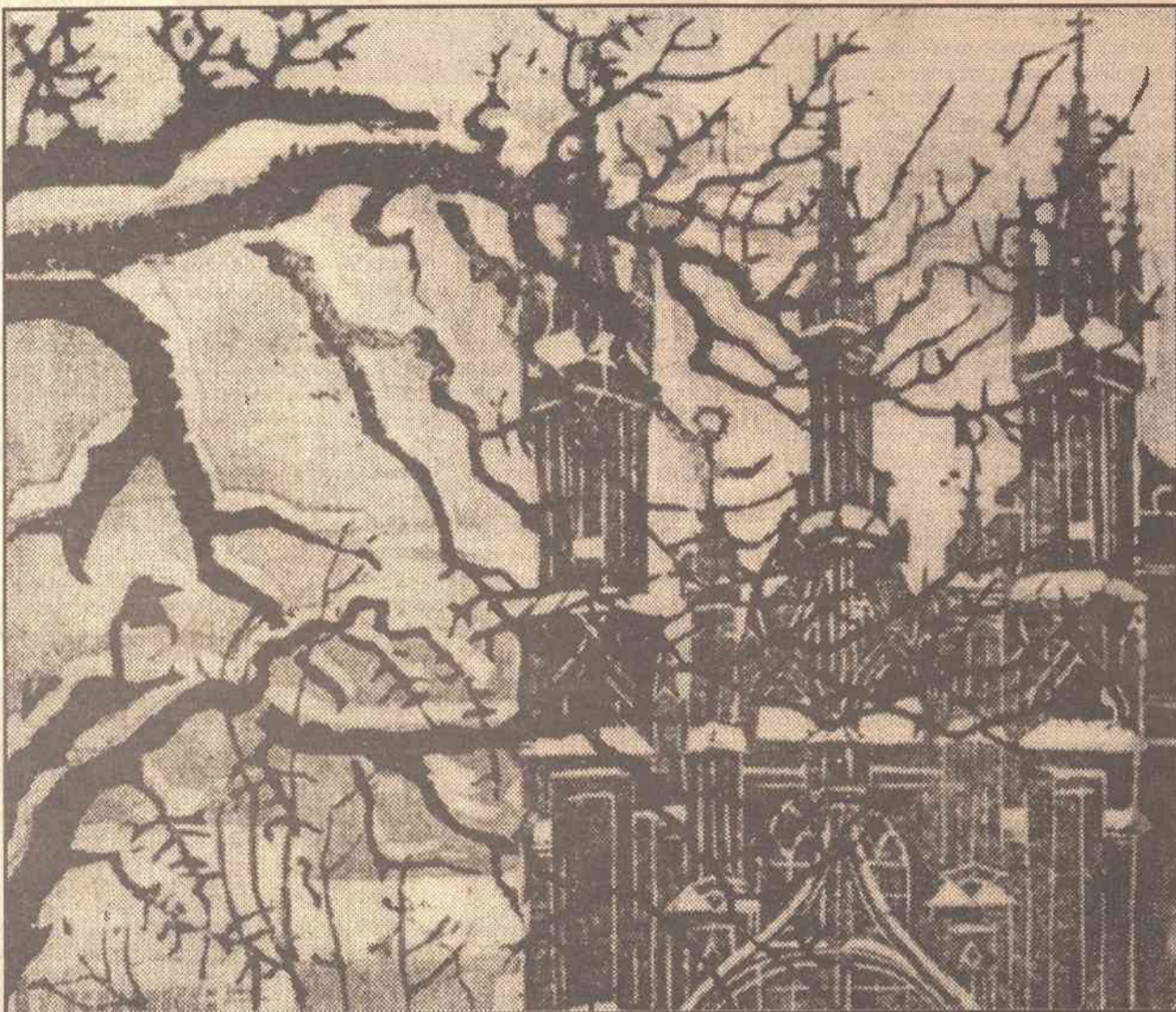
W numerze:

- Lekarze z Kresów na Warmii i Mazurach... s.1 i 5
- Do malarstwa — poprzez Syberię..... s.2
- W 100 rocznicę urodzin S.Cata-Mackiewiczza s.3
- O teczkach w archiwum wileńskiego KGB.....s.3
- Co z Uniwersytetem Polskim w Wilnie.....s.4
- Sztuka Anny Krepstul z Taboryszek.....s.6
- A ja Wilno w sercu mam — konkurs.....s.7
- W kręgu literatury.....s.8

Z TYGODNIA NA TYDZIEŃ

- Z okazji Dnia Niepodległości Litwy w całej republice odbyły się uroczystości i okazyjne imprezy.
- 8 lutego Sejm RL opowiedział się za dekretem prezydenta o dymisji premiera rządu Adolfa Sleževičiusa. W jawnym głosowaniu taką decyzję poparło 94 posłów, 26 — było przeciwko oraz 4 — powstrzymało się od głosu.
- W Wilnie odbyła się kolejna runda rokowań litewsko-rosyjskich w sprawie uzgodnienia projektu o granicach. Projekt umowy jest prawie ukończony i podczas następnego spotkania obie strony mogłyby go parafawować. Wolniej natomiast odbywa się ustalanie granicy morskiej i strefy ekonomicznej.
- Ambasador RL ds. łączności z NATO Dariusz Čekuolis wręczył list sekretarzowi generalnemu NATO H.Solanovi, w którym wyraża zainteresowanie Litwy udziałem w konsultacjach politycznych NATO. Wręczono także projekt programu indywidualnego partnerstwa Litwy z NATO na lata 1996-1998.
- Bez przedstawicieli Litwy odbyło się forum ekonomiczne w szwajcarskim mieście Davos. Mający się tam udać premier Adolfa Sleževičius w obliczu własnych kłopotów zrezygnował z podróży.
- Zjednoczona misja Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego po dwutygodniowych badaniach stanu bankowości przedstawiła prezydentowi Litwy swoje wnioski. Wskazała, że kłopoty systemu bankowości spowodowało kilka przyczyn: niedostateczny nadzór oraz niewłaściwe zarządzanie i ingerowanie rządu w sprawy banków. Złożyli także swe propozycje dotyczące naprawy zaistniałej sytuacji.
- Podpisano umowę o współpracy na lata 1996-1998 między Ministerstwami zdrowia — Litwy i Danii, która zobowiązała się udzielić pomocy technicznej za 1 mln dolarów.
- Przedstawiciele rolnictwa Litwy i Polski odbyli w Warszawie naradę na temat integracji z systemem ekonomicznym UE, Światową Organizacją Handlową oraz wolną strefą handlową Europy Środkowej.
- W Wilnie otwarto wydział konsularny Kazachstanu. Mieści się on przy ul.Kalwaryjskiej.
- Rząd omówił program inwestycji na lata 1996-1998. Według założeń, zamierza się wykonać 248 projektów. Podstawowym źródłem są pożyczki zagraniczne (43,7 proc.), budżet narodowy (39,8 proc.) oraz własne środki przedsiębiorstw (16,5 proc.). Wśród 16 wyodrębnionych działań gospodarczych za najważniejsze uznano energetykę, transport oraz ochronę środowiska.
- Według ostatnich danych badań opinii publicznej, w związku z kryzysem banków znacznie zmniejszyło się zaufanie mieszkańców Litwy do rządu. Ufa mu tylko 16 proc. mieszkańców Litwy. Jest to najniższy wskaźnik wśród instytucji społecznych. Bank Litewski spadł z trzeciej pozycji na piątą. Kościół i media — nadal w czołówce.
- W roku ub. na Litwie zarejestrowano 60819 przestępstw, czyli o 3,7 proc. więcej niż w poprzednim. O 51,1 proc. więcej popełniono ciężkich przestępstw kryminalnych. Przybyło oszustw, zanotowano mniej wypadków łapownictwa.

Opr. B.J.



Z teki wileńskiej. Michał Rouba, Kościół św. Anny, drzeworyt barwny, 1935

LEKARZE Z KRESÓW NA WARMII I MAZURACH

Henryk Dawnis

*Jeden nas łączy cel i jeden ból.
Jedna tęsknota pcha do naszych chat, do naszych pól*

To słowa żołnierskiej piosenki — żołnierza 2 Korpusu. Jakże wymowne, a niespełnione nadzieje — gorycz decyzji Konferencji Jałtańskiej — kiedy kresowy tułacz, powracający z frontów, łagrów i obozów nie wiedział dokąd ma wracać. Domu i Ojcowizny już nie miał, zabrali go nieproszeni goście, którzy podstępnie mieniając się sojusznikami, rozbijali żołnierzy Armii Krajowej, niepokornych osadzali w więzieniach, wywozili znowu do łagrów lub bezpośrednio na Sybir.

Ogromna większość pracowników Służby Zdrowia Ziemi Wileńskiej i Nowogródzkiej współpracowała z Ruchem Oporu i palił się jej grunt pod nogami. Ci, którym udało się wymknąć, dzięki powstałym na Wileńszczyźnie Urzędowi Repatriacyjnym (niesłusznie tak zwanymi, bo *re-patriatio* znaczy powrót do ojczyzny, myśmy do Niej nie wracali), wyjeżdżali z Kresów Wschodnich, aby w czas ująć z objęć NKWD. Jechali w nieznane — tam dokąd wiozły transporty — później osiadłszy na punktach etapowych PUR-u, szukali kontaktów, znajomych, rodziny.

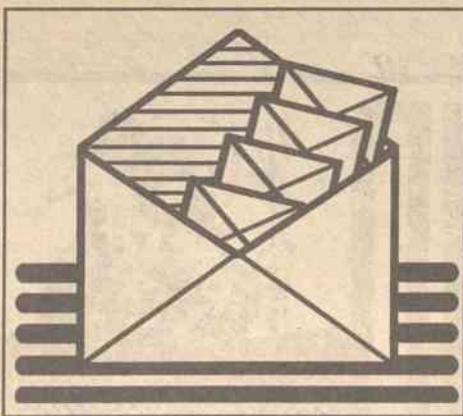
Wielu z nich osiadło w Okręgu Mazurskim, jak wówczas się nazywało obecne Województwo Olsztyńskie. Przywożona ludność nie chciała daleko zapuszczać się w głąb Polski lub na Zachodnie Ziemie Odzyskane, bo wszyscy żyli nadzieją, że to jest tylko etap przejściowy, na krótko i powrócą tam, skąd przybyli. Czas mijał, szanse na powrót malały, trzeba było pogodzić się z losem i zaczynać życie od nowa.

Ludność kresowa — żyjąca dotychczas we wspólnocie wielonarodowościowej, gdzie obok Polaka mieszkał Białorusin, Żyd, Litwin, a czasem Karaim — szybciej się asymilowała z ludnością autochtoniczną niż ludność przybyła z centralnej Polski. Być może wzajemne zrozumienie, że nas przesiedlili, a ją przesiedlają za Odrę wbrew woli, bardziej nas zbliżyło.

Moja osobista refleksja z tego okresu. Wraz z rodzicami, jako 16-letni chłopiec przesiedlaliśmy się z Nowo-Święcian, niewielkiego kolejarskiego miasteczka. Transport kolejarzy i kilka wagonów Polaków z Poniewieża. Razem z nami jechali lekarze — dr Janina Ludańska i dr Wacław Snarski. Stacja docelowa — Gorzów Wielkopolski. Pociąg zatrzymał się w Ostródzie 3 listopada 1945 roku. Z jednej strony warsztaty kolejowe, z drugiej — rozległe jeziora. Decyzja wszystkich jednoznaczna — zostajemy. Jest praca, możliwość wędkowania, a co najważniejsze — jeżeli przyjdzie wracać — to do domu niedaleko. W mig rozładowaliśmy się na międzytorzu. Wille jeszcze stały puste, jednak zajmowaliśmy wolne mieszkania w blokach, bo "w kupie raźniej". Zupełnie jak u Pawlaków i Kargulów: niech będzie wróg, ale własny...

Pierwsze spotkania z ludnością miejscową pozostawiły przykre wspomnienia. Widzieliśmy krzywdę tych ludzi, gdy starcy i kobiety z turbanami na głowie, wywiązany z szalików, wieźli na małych wózkach swój skromny dobytek. Pędzono ich na

(Dokończenie na s. 5)



Studiować w Cambridge

I was thrown out of college for cheating on the metaphysics exam; I looked into the soul of the body next to me.

Woody Allen

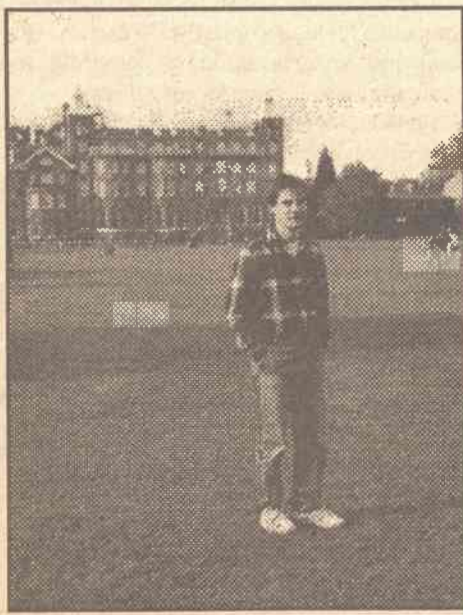
Przebywając od kilku miesięcy w Wielkiej Brytanii, zawsze mile wspominałem gościnność Redakcji i wielu osób mieszkających w Wilnie. To urokliwe miasto, położone w centrum Europy, ma szansę stać się jeszcze poważniejszym środkiem kultury i nauki.

Studiuje język angielski w *International Language Academies* w Cambridge i mam okazję poznania języka i kultury. Obok mnie studiuje tu wielu cudzoziemców, którym przyświeca podobna idea — władać poprawnie English. Zazwyczaj pochodzą oni z krajów europejskich, azjatyckich i Ameryki Południowej. Są też przedstawiciele Litwy. Niemal wszyscy władają angielskim, stąd nie ma żadnego problemu z wzajemnym komunikowaniem się.

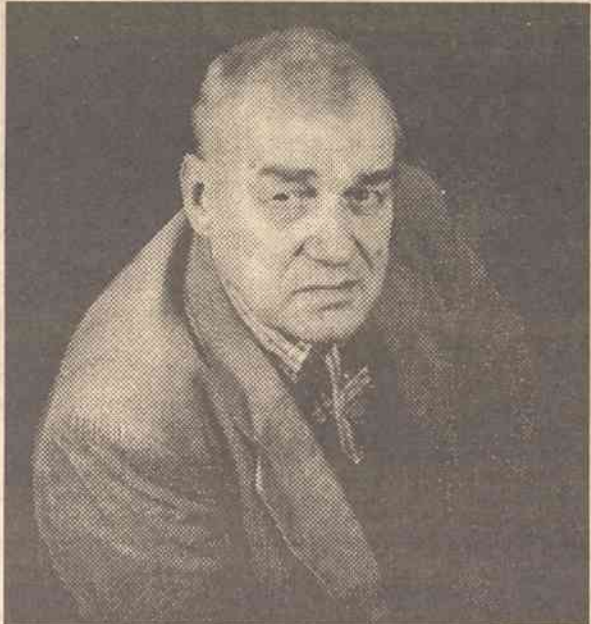
Jestem świadom, że tylko nieliczni mogą tu studiować. W ośrodku naukowym takiej rangi jak Cambridge jest sprzyjająca atmosfera ku temu. Dobrze to rozumieją studenci, którzy musieli wcześniej pokonać wysoką barierę tegoż języka we własnym kraju. Sam ośrodek, położony około 70 km od Londynu, został tak zorganizowany, aby studium mogło wynieść jak najwięcej korzyści dla siebie. Obok studiów dużą atrakcją miasta jest rzadko spotykana architektura zabudowań z zielonymi ogrodami, starannie utrzymanymi. Mają one również walory wychowawcze, gdyż pozwalają każdemu na relaks i własne przemyślenia w takim otoczeniu. Niemal przy każdym kolegium znajduje się kaplica. Zglądając tu ci, którzy pamiętają o potrzebie wiary. Dlatego każdy może się tutaj czuć bardzo dobrze.

Nie zawsze jednak ci, którzy studiuje tutaj, odznaczają się wysokim poziomem intelektualnym. Raczej przyjeżdżają ludzie, którzy posiadają pieniądze i mogą sobie pozwolić na tak prestiżowe studia. Wiedzą o tym doskonale nauczyciele akademicki, mający bezpośredni kontakt ze studentami. Ośrodki naukowe takiej rangi, jak Cambridge, Oxford czy Londyn, cieszą się dużym uznaniem w świecie i ich absolwenci mogą bardzo szybko znaleźć wysoko płatną pracę w swych krajach, lecz nie zawsze uchodzą za czołowych przedstawicieli inteligencji. Dlatego już dzisiaj szkoły i wyższe uczelnie powinny pomyśleć o odpowiedniej selekcji studentów, znajdując pieniądze na ten cel. Od tego zależeć będzie los naszych pokoleń. W średniowieczu trudno było zrozumieć świat bez znajomości łaciny, obecnie bez znajomości angielskiego jeszcze trudniej utrzymywać kontakty, współpracować w dziedzinie biznesu, nauki, kultury i sztuki.

Wojciech Mierzejewski
Cambridge. Wielka Brytania



KRONIKA POLSKIEJ GALERII ARTYSTYCZNEJ



Ważną osobliwością twórczości Urbanavičiusa jest tematyka wileńska

W subtelnym świecie stonowanych odcieni

Tak można by nazwać czynną wystawę akwareli, pasteli oraz obrazów olejnych Eduardasa Urbanavičiusa i jego córki Saulė. Na otwarciu wernisażu przybyli, jak zwykle, licznie plastycy, krytycy, dziennikarze. Artysta krótko opowiedział o swej drodze twórczej. Jeden z zabierających głos, krytyk Romualdas Alekna m.in. stwierdził:

— Godna podziwu jest pracowitość mistrza, którą po ojcu odziedziczyła i córka. W jego wieku niektórzy artyści już spoczywają na laurach, tymczasem nie ma ani dnia, żeby ten człowiek nie był pochłonięty sztuką. Ta pracowitość daje nadzwyczajne wyniki. Należy do bardzo otwartych ludzi, którzy nie boją się powiedzieć prawdy, co ważne szczególnie teraz, gdy w sztuce zaczynają rejdować ci, którzy sami siebie kreują na "geniuszy". Eduardas szuka tych źródeł, które zapewniają mu długotrwałą obecność wśród najlepszych. Pozostaje prawowity i w życiu, i w tym, co mówi. Ważną osobliwością jest tematyka wileńska — tuż przed otwarciem wystawy powiedział, że nigdy jej nie porzuci. A to właśnie łączy Litwinów i Polaków, bo kultura tych narodów spotyka się w tym mieście i tu się spleta.

Do malarstwa — poprzez Syberię

— Do sztuki Pan doszedł "okrężną" drogą. O ile wiem, przeszkodą, było zesłanie...

— To długa historia. NKWD dysponowało danymi, że wiem o istnieniu podziemia. Nie, nie uczestniczyłem w tych akcjach, gdyż miały one religijny charakter. Chodziło o LLKS (*Lietuvos laisvės kovotojų sąjūga* — Związek Bojowników o Wolność Litwy). Za 300 rubli doniósł o tym mój przyjaciel. Partyzantów aresztowano, również i mnie. Wywieziono wszystkich do Szawel, zaczęło się śledztwo, nie dawano nam tygodniami spać. Prawda, jeden ze śledczych bronił mnie, kiedy dowiedział się, że mój ojciec służył z antyklerykalnej postawy. Prokurator dał mi 35 lat więzienia, natomiast dzięki temu śledczemu, Ruszlowowi z Leningradu, skończyło się na 25 latach. W końcu powiedziano, że "za grzechy trzeba będzie odpokutować w innej formie". Uformowano coś w rodzaju "specbatalionu", który nie miał nic wspólnego z wojskowością. Trafiliśmy do Omska, gdzie zatrudniono nas przy robotach, od których nawet więźniowie się odmawiali, bo oni przy temperaturze minus 40° już nie pracowali, my natomiast — pracowaliśmy i przy minus 55°... Jedzenie — w ciągu trzech lat tylko śledzie, po jednym dniu. Nie będę opowiadał, jaki miały smak i wygląd... Był to więc "batalion wykańczający" — i fizycznie, i moralnie, zamaskowany dla świata. W łagrach i jedzenie było lepsze, działały skromne sklepiki, można było otrzymywać paczki, kto wypracował 100 procent "normy" — mógł liczyć na skrócenie terminu "kary". Jak na ironię, zimą dawano letnie ubrania, latem — zimowe... Wazyłem wtedy 45 kilogramów, dwa razy mniej niż dzisiaj.

— Ile lat to trwało?

— Trzy. Nie zwolniono nawet po śmierci Stalina. Rozpoczęliśmy więc głodówkę. Wytrzymałem dwa tygodnie. Była to forma protestu, ponieważ nie zapisywano nam wykonanej pracy, czas dla nas jakby się zatrzymał. Ale w tym okresie pozwolono otrzymywać listy z Litwy. Przesłano mi 200 rubli, więc namówiłem kolegę do ucieczki. I zbiegliśmy, bez dokumentów, bez niczego. Gdyby nas złapano — dostalibyśmy dodatkowo po dziesięć lat ciężkiego więzienia.

— Ucieczka powiodła się.

— Na całe szczęście, tak. Aby trafić do Omska, trzeba było przejść 25 kilometrów przez step. Zaczęliśmy zastanawiać się, co bez dokumentów będziemy robić. Na tę myśl aż pośliznąłem się. Moje zdumienie nie miało granic, bo dostownie nastąpiłem na swój... paszport.

— Istny cud!

— Otóż dzień przedtem zbiegła grupa ludzi. Wyłamali szafy pancerne, zabierając dokumenty, o jeden paszport, ten mój, wzięli za dużo, i po drodze po prostu go wyrzucili... Nieprawdą, fantastyczną historią? Do Moskwy dobraliśmy się na dachu wagonu. Trzeba było uważać, by nie zamarznąć, nie wypaść. Na kolei wtedy był znaczny ruch, dużo osób wracało z łagrów i dlatego było łatwiej "przemycić się". Wielu powracających z braku miejsca, a może i pieniędzy, wracało w ten sposób, ulokowaliśmy się na samym krańcu. Cisnął mróz — była jesień. Kurczowo trzymaliśmy się siebie. I młode organizmy wytrzymały. Z Moskwy dotarliśmy w

lepszych warunkach, ale na gapę. Po powrocie ukrył mnie znajomy w Śecie w rejonie kiejdańskim. Należał on też do zbiegów, pochodził z Szawel, zaś KGB go aresztowało za to, że zrobił błąd w liście dziękczynnym do Stalina, jakie kazano tysiącami pisać w miejscach pracy i szkołach. Pisząc po litewsku, zamiast życzeń "długich lat" napisało mu się "długich chorób"... Nie muszę tłumaczyć, jak wielkie to było przestępstwo polityczne. Najtragiczniejsze, że to był człowiek daleki od polityki i żadnych "wspólników" nie mógł mieć. Z tortur w wileńskim KGB slynęła niejaka Fiodorowa, u której przesłuchanie kończyło się często



Śladami ojca poszła córka Saulė

śmiercią aresztowanych. Podobny los miał spotkać i jego. Po "przesłuchaniu" wraz z sześcioma innymi trupami wyrzucono go na podwórko. Nad ranem odzyskał świadomość. Kiedy nadjechał samochód, żeby zabrać martwych, udało się mu wyczołgać za niezamkniętą w tym czasie bramę... Jakoś dotarł do znajomego lekarza, który mieszkał niedaleko Placu Łukiskiego. Tylko niedawno, po odzyskaniu niepodległości opowiedział mi o tym, jak wielki był strach... Tak oto jeden skazaniec przyszedł drugiego...

— Potem przyszła chruszczowska "odwilż", amnestia, a wraz z nią i możliwość nauki.

— W 1961 roku ukończyłem Akademię Sztuk Pięknych w Wilnie. Czynnym włączyłem się do działalności wystawienniczej. Możliwości były dość ograniczone: tworzyliśmy prace poświęcone wielkim budowom, od artystów potrzebowało opiewania naszej przemysłowej i kolchozowej rzeczywistości, ale można było równoległe rozwijać i inne, "uniwersalne" tematy. Nawet miałem pewne sukcesy w tej tematyce przemysłowej, której obiektem były "Magnitki" i temu podobne. Stąd była odskocznia do malarstwa urbanistycznego. Nie powiem, zaczęły się wystawy, w całym b. ZSRR. Przysłyły też nagrody, zacząłem dużo jeździć, już dobrowolnie i z zaszczytami. Gdzie tylko nie byłem! I w wielkich ośrodkach przemysłowych, i w Azji Środkowej. Ale jakoś nie mogłem tam tworzyć.

— Dlaczego?

— Z biegiem lat przywiązywałem się do Wilna. Doszedłem do wniosku, że to miasto najbardziej "pasuje" do mojej twórczości. Chodzi o miękki koloryst, splatanie się różnych stylów, pogodę, która rzadko daje ostre światło. Weźmy np. Rygę, podobne warunki, ale Starówka tam jest gotycka, więc bardziej odpowiada jej grafika. Wolę stonowane odcienie, to odpowiada właśnie do akwareli.

— Przeszłość żyje w Pańskim opowiadaniu, w obrazach — dotyczy ona miasta, które stało się bohaterem najważniejszym, z jakim jedynie konkurują widoki z zakątkami ojczyźnej ziemi.

— I z tego cieszę się najwięcej. Znajduje to uznanie także wśród miłośników mojej sztuki, na wystawach, które mam często, setki takich obrazów trafiły za granicę — do prywatnych zbiorów w Polsce, Niemczech, USA, Kanadzie. Dokąd jeszcze zawędrowały, mogą powiedzieć jedynie ci, którzy te obrazy mi pomagają sprzedawać.

— Mówią, że Pan to "numer jeden" na Litwie jeśli chodzi o akwarele...

— W sztuce unikam takich określeń. Natomiast, jako twórcy, powiem bez fałszywej skromności, udało mi się nad tym gatunkiem zapanować, wprowadzić parę "tajemnic", dzięki którym właśnie tak są oceniane. Cieszę się, że moimi śladami idzie córka.

— Jest na tyle podobna w twórczości, że niektórzy myślą autorstwo.

— Niech by sama wypowiedziała się na ten temat.

Powtarzam to pytanie Saulė. Uśmiecha się, po czym odpowiada:

— Niewątpliwie na to, że tak maluję, wielki wpływ miał ojciec. To, że mam poziom zbliżony, właśnie mu zawdzięczam. Oczywiście, jak każdy artysta, chcę wytworzyć własny styl i wielu mówi, że jestem na właściwej drodze. Biorę to, co najlepsze u ojca i wiele pracuję nad sobą. A co do planów, mówi się przecież, że uczeń powinien przerosnąć nauczyciela.

Przysłuchujący się tej wypowiedzi ojciec uśmiecha. I dodaje:

— Święta racja. Na to liczę.

Rozmawiał: Romuald Mieczkowski
Fot. Archiwum



E. Urbanavičius, Zaulek Literacki, akwarela

Paweł Jasienica (Lech Beynar):

PRZEMÓWIENIE WYGŁOSZONE PODCZAS POGRZEBU STANISŁAWA CATA-MACKIEWICZA W WARSZAWIE, NA POWĄŻKACH, 22 LUTEGO 1966 ROKU



Stanisław Cat-Mackiewicz umarł, jak żył — w konflikcie i w walce. Nie wolno zapomnieć, że oddajemy ostatnią posługę wielkiemu pisarzowi, który złożył kiedyś znamienne wyznanie. Było to więcej niż przed trzema dziesiątkami lat. W wileńskim dzienniku "Słowo", w prowincjonalnej gazecie postawionej na europejskim poziomie, ukazał się artykuł naczelnego redaktora, Stanisława Mackiewicza. Mowa tam była, że komuś na nagrobku napisano: *nie miał wrogów*. I padły słowa, które wryły się w pamięć, jakby diamentem na szkle napisał.

Nie miał wrogów? To ma być pochwała? To zniewaga. Ja bym chciał, żeby mi na mogile napisano: *miał samych wrogów*.

Hiperbola? Pewnie. Ale najbardziej zachwała przesadnia literacka celowo wyolbrzymia tylko zjawiska prawdziwe, nie tworzy fikcji. Ten człowiek nigdy nie wzbudzał uczuć letnich

i wzbudzać ich nie chciał. Ma się w uszach pogłos naszych zebrzań literackich, podczas których Jego wspaniałym oracjom odpowiadały fale oklasków, lecz i okrzyki protestów, potępienia i wrogości. Tak jest dobrze i tak być powinno.

Zyczenia Stanisława Mackiewicza zostały wysłuchane. Żył w konflikcie. Autor "Myśli w obcęgach" pozostał wierny sobie. Walczył o wolność myśli i słowa. Ostatnie lata, czas od chwili podpisania "Listu Trzydziestu Czterech",* spędził w nieustannym zatargu.

Jeszcze jednej łaski doznał Stanisław Mackiewicz. Łaski wielkiej, lecz bardzo okrutnej. Odszedł w pełni sił twórczych. Nie doczekał rzeczy dla pisarza najstraszniejszej: nie przeżył własnego talentu. Książki Jego ludzie będą kochać lub nienawidzić, nikt się nad nimi z politowaniem nie uśmiechnie. Nikt nie powie, że to już marne echa wielkości. Stanisław Mackiewicz nie poszedł na pisarską emeryturę.

Żył w walce i płacił na to. On premier rządu emigracyjnego, który przyjechał do nas w roku 1956, aby wesprzeć front tych, co walczyli o wolność. Kraj zna te tylko Jego książki, które zostały napisane w przeciągu lat ostatnich. "Londyniszczce", "Stanisław August", "Dostojewski", "Muchy chodzą po mózgu", "Zielone oczy", "Był bal" i ostatnią: "Europa in fl. granti". Innych Jego książek ogół krajowy nie zna. Nawet w antykwiariatach nie widać wcale "Myśli w obcęgach" ani "Książki moich rozszarowań". Na emigracji samych broszur napisał Stanisław Mackiewicz czterdzieści.

Broszura... nieładne słowo, ale to przecież były rozprawy publicystyczne, napisane z ogniem i talentem. Dokumenty walki. Kraj ich nie zna. Ale nie przepadną. Drogę na księżyc już wynaleziono, nikt nie wynalazł i nigdy nie wynajdzie sposobu uśmiercania słowa drukowanego.

Los piąta czasem dziwne niespodzianki, urządziła zasadki. Dosłownie w ostatnich dniach krakowskie "Wydawnictwo Literackie" rzuciło na rynek wybór publicystyki Ksawerego Pruszyńskiego, który był przyjacielem Stanisława Mackiewicza. Pod artykułami widnieją informacje o czasie i miejscu pierwodruku. W pierwszym tomie co chwila niemal czytamy: "Słowo", "Słowo" w Wilnie.

Otwórzmy pierwszy tom na artykule "Kraków nowych ludzi". Czytajmy słowa świadczące o radości autora, że w Krakowie przestają dominować *stare hrabiny i wykwinieni ludzie*, że coraz bardziej tam przeważają *synowie przedwczorajskich chłopów, a nie przedwczorajskich ziemian*. I któż takie rzeczy drukował? Redaktor naczelny "Słowa" — Stanisław Cat-Mackiewicz, główny polski konserwatysta i monarchista.

Świat jest o wiele bardziej skomplikowany, niż się wydaje amatorom panoram czarnobiałych.

Praca i talent gustują w swym towarzystwie, lubią chadzać razem. Stanisław Mackiewicz pracował do końca. Zmarł 18 lutego. 12 lutego, w sobotę gościł u siebie przyjaciela z ławy szkolnej i z wojska, pana Wacława Paca-Pomarnackiego oraz jednego z literatów. Opowiadał o książce, którą zamierzał napisać. Miała to być rzecz o Zofii Tołstoj, żonie Lwa. Zdobył materiały, zgłębiał je. Mówił pasjonująco, z przejęciem, polotem. I dziwna rzecz — tak, jak to się mówi zazwyczaj, o sprawach ojczystych. Nie było w Jego wywodach ani cienia poczucia obcości, wrogości.

Tak mówił o rzeczach rosyjskich człowiek, który w "Zielonych oczach" opowiadał, jak — młody kawalerzysta — partyzant — po raz pierwszy w życiu usłyszał obok głowy świst kuli. A był to pocisk wystrzelony z karabinu rosyjskiego. Kim był ten człowiek?

Stanisław Cat-Mackiewicz — pisarz polski. Pisarz polski... i coś więcej. On sam przecież siebie określił słowami, które wymówić trudno, tak bardzo wzruszają:

Urodziłem się jako Polak, szlachlic litewski i miłości Wilna nikt nie wyrwie z mego serca.

To był moralny pogrobowiec — spadkobierca Wielkiego Księstwa Litewskiego, Rzeczypospolitej Obojga Narodów, pierwszego w dziejach państwa dla wielu narodowości. To jego ukochane Wilno w roku 1655, w chwili swej wielkości i katastrofy, liczyło dwadzieścia trzy kościoły katolickie, dziewięć cerkwi unickich, dwie prawosławne, świątynie ewangeliczne — luterancką i kalwińską — bożnice Starego Zakonu, meczet tatarski.

Już wtedy, w XVII wieku, mawiano, że nig-

dzie na świecie nie czci się Boga w sposób tak rozmaity, jak w Wilnie.

Prawdziwi dziedzice tych tradycji są odporni na ksenofobię, na odruchy wrogości wobec narodów, z którymi sąsiadować nam przyszło o miedzę, lub na kontynencie.

Wielkie Księstwo Litewskie, Rzeczypospolita Obojga Narodów, nie istnieją w polityce, nie ma ich na żadnej mapie. Żyją w innym wymiarze — w literaturze polskiej. Żyją w utworach Stanisława Mackiewicza-Cata.

Zakończycie wypadnie cytatem z dzieł Słowackiego, ucznia Uniwersytetu Wileńskiego. Dwaj bohaterowie dramatu gawędzą o pewnym wiekowym zamczysku:

Stary dom.

Jeszcze potrwa.

Dłużej niż nas wielu.

Stanisław Mackiewicz — gdyby żył, w roku 1996 skończyłby sto lat. 18 lutego 1996 roku mija trzydzieści lat od Jego śmierci. Paweł Jasienica (Lech Beynar) umarł w 1970 roku. Obaj byli absolwentami Uniwersytetu Stefana Batoro w Wilnie. To przemówienie, nad grobem starszego kolegi, Paweł Jasienica ofiarował mi "ku pamięci". Nie było nigdzie drukowane w całości. Oczywiście, nie może zawierać wszystkiego, co warto o bojach Stanisława Mackiewicza napisać. Np., że w 1940 r. w Paryżu, będąc członkiem Rady Narodowej, powołanej przez Prezydenta — wydał 21 numerów "Słowa", że w latach 1946-1950 wydawał w Londynie tygodnik "Lwów i Wilno" — tytuł mówi za siebie.**

Gdy wrócił do Polski w 1956 r., zapytany "dlaczego wróciłeś" — odpowiedział: "bo chcę, by moi rodacy zrozumieli, że nie mogą liczyć na Zachód" — sojusze według niego, nie mogą być "egzotyczne", winny opierać się na wspólnocie interesów, wspólnych zagrożeniach...

Aleksandra Niemczykowa

* "List Trzydziestu Czterech" przeciwko cenzurze podpisało 34 pisarzy i profesorów w 1964 r. — był początkiem wielkiego protestu przeciwko zniewoleniu słowa.

** Brak też takich tytułów jak "Historia Polski" i "Lata nadziei" — książek nieustannie obecnie wznawianych.



Budynek ten szczególnie znany jest wileńszczyźnie. W okresie okupacji niemieckiej mieściło się tu gestapo, a w okresie sowieckim — oślawiony KGB.

Fot. Bronisława Kondratowicz

— Kiedy Rząd Litwy przejął budynek byłego KGB i znajdującą się tu dokumentację?

— 22 sierpnia 1991 roku, po nieudanej próbie w Moskwie, Rada Najwyższa RL zabroniła działalności struktur KGB na terytorium Litwy. W tym czasie została utworzona komisja ds. badania tej działalności. Przewodniczącym został deputowany Balys Gajauskas, obecnie członek sejmowego Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego. Grupa robocza tej komisji dokonała wstępnego opisu zostawioną dokumentacji. Budynek był oddany do dyspozycji Ministerstwa Sprawiedliwości RL. Następnie w 1993 roku, Dyrekcja Generalna Archiwów utworzyła Zespół pracowników, którego zadaniem było przekazanie dokumentów byłego KGB do Państwowego Funduszu Archiwalnego. Byłem mianowany kierownikiem tego Zespołu. Według rozporządzenia dyrekcji, archiwum miało być uporządkowane do 1 stycznia 1995 roku. Już na początku naszej pracy było jasne, że termin jest zupełnie niere-

alny. Mieliśmy wiele trudności. Pracowaliśmy "na ślepo", bo wszystkie spisy i kartoteki zostały zniszczone bądź wywiezione do Rosji. W niektórych funduszach nie możliwe było zorientować się. W tym systemie istniały tajne instrukcje i wskazówki. Nawet archiwariusz o wysokich kwalifikacjach nie dawał sobie rady. Trudno było podołać z ogromną masą pojedynczych dokumentów, które zostały znalezione w tym budynku — na stołach, półkach, w szafach i seifach. Ogromną ilość dokumentów dostarczono z rejonowych działów KGB. Proces porządkowania archiwum jest bardzo pracochłonny. Rozrzucone, pojedyncze dokumenty należało sklasyfikować i ułożyć w teczki. Nasze fundusze zawierają ich blisko ćwierć miliona, ze średnią objętością 300 stron. Według zasad pracy archiwum, każda musi mieć tytułową kartę i opis zawartych dokumentów, gdzie są wskazane wszystkie uszkodzenia. Praca nad sporządzeniem jednej teczki trwa kilka dni. Całość trzeba skrupulatnie ponumerować i

Na tropach historii najnowszej

O TECZKACH W ARCHIWUM BYŁEGO KGB

Z dyrektorem Specjalnego Archiwum Litwy, drem Arūnasem Bubnysem rozmawia Andrzej Puksztó

sklasyfikować, a wtedy ułożyć w ogólną kartotekę. Praca ta trwa nadal.

— Kto ma prawo korzystać z dokumentów, znajdujących się w archiwum?

— Archiwum było otwarte dla społeczności od początku swego istnienia t.j. od września 1993 roku. Od tego czasu działa czytelnia. Z materiałem archiwalnym mogą zapoznać się byli więźniowie polityczni, zesłańcy, jak również prawnicy, historycy. Gdy zaczęliśmy pracować, w czytelnicy utworzył się tłok, przychodziło bardzo dużo ludzi. Każdy chciał zapoznać się z niezbędnymi dla niego dokumentami. Nawet istniała kolejka, która znikła dopiero od pół roku. Na terytorium byłego ZSRR jest to jedyne archiwum KGB, z którego wszyscy mogą korzystać. Aktualnie każdy chętny może złożyć podanie i w szybkim czasie otrzyma potrzebne mu dokumenty. Wydajemy tylko uporządkowane i opisane teczki.

— Czy istnieje kategoria teczek, do których dostęp jest ograniczony?

— Aktualnie Rząd RL przygotowuje wykaz tajemnic państwowych. Czekamy, aż oficjalnie zostanie zatwierdzony. Znam fundusze i sądzę, że archiwum nie posiada takich teczek, których zawartość stanowiłaby tajemnicę państwową. Takich już dawno nie ma. Jeszcze w 1988 roku kierownictwo Komitetu Bezpieczeństwa zaczęło wywozić najważniejsze dokumenty do Rosji. Wśród nich sprawy osobiste pracowników, dokumentację kadrową, kartoteki agentów. Istniały specjalne obrabiarki, które cięły dokumentację na drobne pasemka. Znaleźliśmy kilka worków z takimi ścinkami. Z takich skrawków papieru nie da się odczytać nawet najkrótszego słowa.

— Czy archiwum jest dostępne dla obywateli zza granicy?

— Od 1993 roku w archiwum pracowało 12 zagranicznych naukowców. Wśród nich — historycy Polskiej Akademii Nauk. Kilka razy przyjeżdżali przedstawiciele Centrum Wizenta-

la z Izraela oraz pracownicy ministerstwa sprawiedliwości z USA i Kanady. Praca tych ostatnich była związana z poszukiwaniem przestępców wojennych, którzy uczestniczyli w masowej zagładzie ludności żydowskiej podczas drugiej wojny światowej. Zagraniczni naukowcy, prawnicy przyjeżdżają i otrzymują potrzebny im materiał.

— Ostatnio wiele naukowców bada historię najnowszą, takie tematy, jak walka antyfaszystowska i antyradziecka, polski ruch oporu na Wileńszczyźnie oraz likwidacja Żydów na terytorium Litwy. Jak Pan uważa, czy w tych zbiorach mogą się odnaleźć materiały, na podstawie których kardynalnie uległyby zmianie teraźniejsze poglądy?

— Jeśli mówimy o czasach wojny ZSRR z Niemcami, to takich materiałów, które zmieniłyby obecny stan rzeczy, wywołałyby sensację, moim zdaniem, nie ma. Po prostu, jest tu wiele informacji, która dopełni poszczególne tematy. Co innego, dokumenty z lat powojennych. Część z nich dotyczy tzw. "obrońców ludowych". W nich naukowcy mogą znaleźć nowe, nieznane fakty z historii Litwy powojennej.

— Dziękuję za rozmowę.

Archiwum Specjalne Litwy zostało utworzone 16 października ub. roku. Przechowywane w nim będą dokumenty byłego KGB, Komunistycznej Partii Litwy, jak też część materiałów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wkrótce do użytku zostanie oddany 8-piętrowy budynek przy ulicy Oskara Miłosza, obok Centralnego Archiwum Państwowego. Aktualnie dyrekcja mieści się w gmachu b. Komitetu Bezpieczeństwa i kieruje pracami nad uporządkowaniem materiałów KGB.

Problem czeka na rozwiązanie

Sejmowa Komisja ds. Kultury, Oświaty i Nauki (przewodniczący — Bronislovas Genzelis) zaproponowała Ministerstwu Oświaty i Nauki zlikwidowanie działających bez licencji prywatnych szkół wyższych, w tym również Uniwersytetu Polskiego w Wilnie (UPW). Licencja, wydawana przez rząd i zaaprobowana przez Litewską Radę Naukową, zapewnia dyplom uznawany jak na Litwie, tak i w innych krajach. Aby ją otrzymać, statut uczelni musi odpowiadać niedawno znowelizowanej ustawie o nauce i studiach.

Wydział dzienny UPW obecnie liczy 93 studentów, zaoczny — 33. Aktualnie 95 osób kontynuuje naukę na uczelniach w Polsce, a 6 — podjęło studia na Litwie.

Sekretarz Ministerstwa Oświaty i Nauki Jonas Puodžius, zapoznany ze sprawami UPW, jest zdania, że uczelnia jak najszybciej musi uzyskać status prawny, by mogła wydawać odpowiednie dyplomy. Może być zarejestrowana jako uniwersytet, bądź jako szkoła wyższa czy college. Zależy, czy będzie spełniać wymagania, stawiane dla różnego szczebla placówek oświatowych w ustawie o nauce i studiach.

Według doc. Mieczysława Plenkowskiego, prorektora UPW, ta placówka już teraz spełnia część ustalonych warunków. Na przykład, ponad połowa kadry pedagogicznej — to osoby ze stopniami naukowymi, wśród nich odpowiedni procent profesorów. Podobać natomiast niektórym wymaganiom jest bardzo trudno. Jedno z nich: by połowa kadry dydaktycznej miała na uczelni etat podstawowy.

Dobiegła końca kadencja Senatu UPW. Nowo wybrany będzie musiał powziąć ważne decyzje o kierunkach dalszej działalności tej placówki. Miejmy nadzieję, że Ministerstwo Oświaty i Nauki, ze zrozumieniem podejdzie do istniejących problemów i wkrótce zostaną one rozwiązane. Bo już niewiele czasu pozostało do końca roku szkolnego i uczniowie zastanawiają się, dokąd udać na studia.

Uniwersytet Polski w Wilnie powstał w dobie odrodzenia na fali euforii i entuzjazmu. Rektor UPW, prof. Romuald Brazis przyjmuje gratulacje od dr Henryki Ingielewicz

Fot. Bronisława Kondratowicz



27 lutego mija pięć lat, jak z grona naukowców Litwy, odeszła profesor etnologii Uniwersytetu Wileńskiego Pranė Dundulienė. W okresie radzieckim była jednym z filarów nauki litewskiej. Całe swe życie poświęciła badaniom kultury ludowej. Najbardziej interesowały ją tradycje uprawy roli na Litwie, mitologia i wierzenia pogańskie. Inicjowała mnóstwo ekspedycji do różnych zakątków Litwy. Zebrany materiał zasilł zbiory wielu muzeów, w tym historii i etnografii w Wilnie. W tamtych czasach na takiego rodzaju badania patrzono niezbyt przychylnie. Jednak wytrwale pracowała, sięgała po nowe materiały i zagadnienia. Była autorką 15 książek i ponad 500 artykułów.

Pranė Stukėnaitė urodziła się w 1910 roku we wsi Filipy, niedaleko Świecian. Ukończyła

Ekspedycja do rejonu oniksztyńskiego w 1956 roku. Obok badaczki folkloru — jej mąż, prof. Bronius Dundulis, wyprawie towarzyszyły córki

Fot. Archiwum

Wspominając prof. Pranė Stukėnaitė-Dundulienė

Uczennica polskich etnologów

litewskie gimnazjum. W 1935 roku rozpoczęła studia na wydziale przyrodniczym USB. Chociaż studiowała geografię, uczęszczała na wykłady Kazimierza Moszyńskiego, profesora etnologii. Czuła zamiłowanie do kultury ludowej. Na drugim roku studiów, przy pomocy wspomnianego profesora, zmieniła kierunek nauki. Przeszła na wydział humanistyczny, na etnologię.

Kazimierz Moszyński był wybitną osobistością USB. Po studiach w Szwajcarii pracował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Do Wilna przybył w roku 1935. Badacz kultury dawnych Słowian, autor "Atlasu kultury ludowej w Polsce" oraz encyklopedycznej "Kultury ludowej Słowian". Studia etnologii odbywały się na wysokim poziomie. Przy uniwersytecie działało muzeum etnograficzne (kierownik — Maria Znamierowska-Prufferowa). Studenci robili wypadki do podwileńskich wsi. Nowymi eksponatami wzbogacali muzeum. Zebrany folklor upowszechniali w prasie wileńskiej.

Pranė Stukėnaitė potrafiła kończyć studia w ciągu czterech lat i już w 1938 roku rozpoczęła pracę w Litewskim Towarzystwie Naukowym w Wilnie. Od 1944 roku wykładała etnografię na Uniwersytecie Wileńskim, od roku 1977 — jako profesor. Obok pracował jej mąż, historyk Bronius Dundulis. Był jednym z niewielu Litwinów, któremu przed wojną udało się otrzymać stypendium i wyjechać na studia na Uniwersytecie Sorbońskim. Tam obronił doktorat na temat "Napoleon i Litwa", który został nieuznany przez władze radzieckie Litwy. Musiał go przepisać, przeplatając cytatami klasyków marksizmu-leninizmu, i na nowo obronić.

W Wilnie i Świecianach, szczególnie w tych dniach, bardzo ciepło wspomina się Pranė Dundulienė. Chcielibyśmy przypomnieć, że była absolwentką USB, uczennicą polskich etnologów.

Z Uniwersytetu Warszawskiego

Przybywa nam doktorów nauk

Niedawno w Białostockiej filii UW Lucjana Binkiewicz uzyskała stopień doktora nauk ekonomicznych. Przedtem pracowała jako wicedyrektor Wileńskiej Wyższej Szkoły Rolniczej, aktualnie jest doradcą mera samorządu rejonu wileńskiego, jak też kierownikiem Ośrodka Wspomagania Rolników i Przedsiębiorczości Rolniczej. Jest cenionym specjalistą w dziedzinie rolnictwa. Tematem rozprawy doktorskiej była "Pracochłonność chowu bydła mlecznego w gospodarstwach Wileńszczyzny".

Oferujemy kasety wideo



z najciekawszymi zabytkami Wilna (Ostra Brama, Św. Ducha i in. kościoły), miejscowościami Litwy (Góra Krzyży, Szydłów, Druskienniki, Troki, Powiewiórka i in.), fragmentami występów polskich zespołów artystycznych ("Wilia", "Wileńszczyzna", "Kapela Wileńska", Teatr Polski w Wilnie).

Cena 3-godzinnej kasety — 40 Lt. Przy wysyłce pocztowej za granicę — 10 USD (albo równowartość w złotych RP lub innej walucie) plus koszty przesyłki. Do Polski — i krajów Europy — 12 Lt (3 USD). Pieniądże można wpłacić na konto w Warszawie lub przesyłając czeki na nazwisko redaktora lub wydawcy.

Kronika PGA

Rzewnie i wesoło

4 lutego śpiewał w naszej redakcyjnej galerii zespół wokalny "Harmonia" z Mariampola (rej. wileński). Pannie przedstawiły repertuar, który powstał w ciągu 10 lat wspólnej pracy. Jest bardzo różnorodny. Składają się nań znane piosenki polskie, rosyjskie, litewskie. Chociaż zespół jest amatorski, widzowie podziwiali wysoki poziom wykonania. Akompaniowała na gitarze i pianinie Luba Nazarenko, kierownik artystyczny. Na prośbę obecnych na sali Luba wykonała wiązanekę popularnych romansów.

Zaprasza Polska Galeria Artystyczna

Każdego dnia od godz. 10 do 18 przy redakcji czynna jest ekspozycja współczesnego polskiego malarstwa w Wilnie. Do nabycia — prace plastyków, książki o tematyce wileńskiej, prasa, kasety muzyczne i wideo. W PGA można posłuchać muzyki, w artystycznej atmosferze napić się kawy z firmowym pączkiem, spotkać ciekawych ludzi, podyskutować, spędzić przyjemnie i po prostu treściwie czas. W Galerii stale odbywają się imprezy artystyczne. Jest to doskonałe miejsce na spotkania towarzyskie i klubowe, konferencje i narady, na wszelkiego rodzaju przyjęcia o wysokim standardzie.

Stronę przygotował: Andrzej Puksztó

Dwa tysiące występów Dominika Kuziniewicza

WINCUK GADA



Dominik Kuziniewicz po jednym z koncertów

Fot. Bronisława Kondratowicz

Tyle występów łącznie ze stałymi felietonami radiowymi miał w ciągu 13 lat pracy. Po raz pierwszy, jako Wincuk Bałbatunszczyk z Pustaszyszek, przeczytał gawędę gwarową w 1983 roku w polskim programie Radia Litewskiego. Ujawnił się publiczności w 1988 roku, razem z "Kapelą Wileńską", podczas festynu "Czerwonego Sztandaru" i "Ekspresu Wieczornego" na Placu Katedralnym. Najliczniejszą widownię gawędziarz miał w Kołobrzegu podczas Festywalu Piosenki Żołnierskiej. Od ośmiu lat co roku wyjeżdża na Kiermasze Kaziukowe do Lidzbarka Warmińskiego. Jest honorowym obywatelem tego miasta.

Gawędy jego autorstwa tworzą dwie książki: "Kochanieńkie, popatrzajcie sami" i "Wszystkiego po troszeczkę". Aktualnie przegląda przedwojenną prasę wileńską i wybiera felietony Kazimierza Aleksandrowiczowej i Leona Wołłejki, żeby je odtworzyć dla współczesnego słuchacza. W okresie przedwojennym byli oni znakomitymi prekursorami gwary wileńskiej na antenie radiowej. Wołłejko, jako autor i wykonawca popularnych audycji "Kłopoty oszmiańczuka", Aleksandrowiczowa była znana jako ciotka Albinowa.

18 lutego Dominik Kuziniewicz zaprasza wileńską publiczność do Pałacu Wspólnoty Związków Zawodowych na swój jubileusz, żeby opowiedzieć o nowych przygodach i kłopotach Malwinki i Ignaśki, Weruśki i Józkiuka.

LEKARZE Z KRESÓW NA WARMII I MAZURACH

Henryk Dawnis, Olsztyn

(Początek na s. 1)

rampę kolejową jako Niemców, a oni mówili do nas po polsku — tylko "mazurząc". Załadowano ich do tych samych wagonów, które opuściliśmy.

Kiedy nasze pociągi z Wileńszczyzny ruszały na Zachód w nieznaną — ludzie w wagonach śpiewali "Serdeczna Matko" i "Pod Twoją Obronę". Tę samą pieśń dało się słyszeć, gdy ich wieźli za Odrę.

W marcu 1945 roku ludność tego Okręgu wynosiła 170 tys. mieszkańców, w większości byli to starcy, kobiety i dzieci.

Osiadłeńcy, przybyszący na te tereny, musieli podjąć heroicznego wysiłku — odbudowywać zniszczony wojną kraj, gdyż komunikacja, łączność, szkoły, szpitale leżały w gruzach lub były zdewastowane. Pola nie obsiane, często jeszcze pełne min. Twardy charakter i wytrzymałość kresowego ludu charakteryzuje opowiadka o powstańcu z 1863 roku na Litwie, którego powiesili Moskale, a swoi go w jakiś czas potem żywego z pętli odcięli. Pytają jak się czuje. On odpowiada: "A nic sobie, wisza godzina, wisza druga i markotnu jakuści, jeść chce się — wiadomo nie przywykły".

W czasie migracji niedożywienie, brak środków higieny, koczowanie w przygodnych zbiorowiskach — wszystko to sprzyjało szerzeniu się chorób. Dały o sobie znać dury — brzusznicy i plamisty, dezynteria, świerzb i choroby weneryczne. Każdy przybyszący pracownik Służby Zdrowia ceniony był na wagę złota.

Wielką była determinacja i poświęcenie tych, którzy zamiast szukać wygod i osiedlać się we względnie godnych warunkach, jechali do małych miasteczek i osiedli, niosąc pomoc ludności, kompletnie wyczerpanej wojną i epidemiami, często razem z nią mieszkając w zniszczonych domostwach. Nie sposób ich wymienić, wówczas byli pionierami — w końcu pozostali cichymi bohaterami.

Olsztyńskie przejęło 23 szpitale, z których 12 po uprzątnięciu mogło podjąć pracę, 10 było częściowo lub bardziej zdewastowanych, 1 spalony (w Nidzicy). Otwarte w 1945 roku szpitale dysponowały 1330 łózkami. W końcu 1945 były 22 ambulatoria, a po roku — około 50, zaś liczba mieszkańców Okręgu Mazurskiego wzrosła do ponad 400 tys. mieszkańców.

Właściwy okres powstania Polskiej Służby Zdrowia w samym Olsztynie datuje się od 19 lutego 1945 roku, gdy jako pierwszy lekarz przybył dr Florian Piotrowski. Należał on do legendarnej "grupy czterdziestu", składającej się z pracowników kolejowych, którzy pierwsi przybyli do Olsztyna i na ul. Waryńskiego (obecnie ul. Zientary Malewskiej) pod numerem 58 wywiesili biało-czerwoną flagę. Doktor Florian, zawsze rozbiegany, śpieszący się, wielki społecznik i turysta, był organizatorem pierwszego polskiego szpitala — ambulatorium w wyzwoleń w marcu 1945 roku, mieście, w barakach na ul. Franciszkańskiej (obecnie Wyspiańskiego). 1 maja 1945 roku przyjechał dr med. Jan Janowicz.

To właśnie dr Florian Piotrowski w dniu 20 stycznia 1946 roku dokonał reamputacji zgangrenowanej lewej stopy autochtonce Wiktorii Langowskiej ur. 1919 r. (wypis z protokołu operacyjnego nr 1/45) i dr Jan Janowicz, który 24 stycznia 1946 roku wykonał operację usunięcia uszkodzonej gałki ocznej, rozpoczęli nowy etap w powojennej chirurgii olsztyńskiej.

Rocznica pierwszej operacji — obchodzona jest rokrocznie bez mała 50 lat przez chirurgów bardzo uroczystie. W dniu 20 stycznia — wszyscy idziemy na cmentarz, odwiedzamy groby nieżyjących kolegów, zapalamy znicze, składamy kwiaty. Młodym kolegom staramy się przekazać tradycje, wspominając o tych, którzy odeszli na "wieczny dyżur". Wieczorem któraś ze specjalności chirurgicznych — urządza uroczystą kolację. Wspomnieniom nie ma końca do białego rana.

Z osobą dra Jana Janowicza, który faktycznie jest "ojcem chirurgii" w powojennym Olsztynie, związana jest praca wszystkich szpitali olsztyńskich. Ogromna wiedza, jego doświadczenie zawodowe i urzekająca

osobowość, odcisnęły niezatarty ślad na służbie zdrowia województwa olsztyńskiego. Ledwo kończył operację w jednym szpitalu, już śpieszył do następnego. Wyjeżdżał często do szpitali terenowych, tam służył radą i doświadczeniem, często operując osobiście.

Do czego zdolni byli żołnierze-wandale, stacjonujący w budynku szpitala, ilustruje opowieść pierwszego dyrektora Szpitala Mariackiego, dra Stanisława Dorantta. Szpital nie posiadał niczego, co by świadczyło, że niegdyś nim był. Wyposażenie wywieziono lub całkowicie zniszczono. Całe wnętrza — od suteren aż po strych — było jednym nieprawdopodobnym śmietnikiem. Ile tych śmieci i fekalii było, można sobie wyobrazić po sprzątaniu, które trwało osiem tygodni, a spalanie tego — mało mniej.

Kim byli sprzątający? Najczęściej wyłapywani szabrownicy. W razie ucieczki jedynych, dostarczano następnych przez jakieś tam organa porządkowe. Zakaźnie chorzy byli rozmieszczani w ocalałych domach przy obecnej ul. Kościuszki. Największym problemem było dostarczanie wody, którą donoszono z Łyny — i wynoszenie nieczystości.

Panoszące się epidemie chorób zakaźnych wymagały natychmiastowego działania. Pałącym problemem były szczepienia ochronne. Jak niebezpieczną była praca wśród zakaźnie chorych, niech posłuży przykład z terenu Bartoszyce z grudnia 1945 roku. Z 10-osobowego personelu pomocniczego cztery osoby zmarły na dur brzuszny, trzy chorowały i trzy były zdolne do pracy. W tym czasie we wsi Woryty zachorowali wszyscy jej mieszkańcy. Na dzień 31 grudnia 1945 w Okręgu Mazurskim zanotowano 6382 przypadków zachorowań na dur brzuszny, z tego 791 osób zmarło.

Od grudnia 1945 roku pracował w Kętrzynie dr Zygmunt Kozłowski. Był on prekursorem przyspieszonego szkolenia średniego personelu medycznego na kursach siostr Polskiego Czerwonego Krzyża i kształcenia asystentek medycznych. W latach 1957-1971, będąc dyrektorem Szpitala Mariackiego, był równocześnie długoletnim wykładowcą w szkole pielęgniarskiej w Olsztynie, gdzie położył duże zasługi w kształceniu średnich kadr medycznych.

Nie lepiej przedstawiał się problem położnych. Radość z zakończenia wojny, szczęśliwe powroty i łączenie rodzin — sprzyjały wzrostowi urodzin. Ze szkoleniem położnych problem był bardziej złożony, gdyż wymagało to więcej zajęć praktycznych, ale i temu zaradzili doktorzy: Alina Erdmanowa, Stanisław Dorantt i Feliks Wyszomirski. W późniejszym czasie powstawały izby porodowe, pozostające w stałym kontakcie z oddziałami położniczymi w szpitalach.

Z tego miejsca wypada wspomnieć o pierwszych lekarzach-pionierach, którzy byli nauczycielami przyszłych ordynatorów i kierowników pracowni. Są to:

dr Antonina Prościewicz — okulista,
dr Jan Janowicz — chirurgia i jego asystenci,
dr Mieczysław Pimpicki — chirurgia ogólna i urazowa,
dr Jan Rymian — chirurgia dziecięca,
dr Zygmunt Krassowski — chirurgia onkologiczna,
dr Bogdan Tallat — urologia,
dr Wiktoria Rożnowska-Kołodziejczyk i dr Stefan Tyłło — pediatria,
dr Zygmunt Kanigowski — neurologia,
dr Józef Lenartowicz — radiologia,
dr Feliks Wyszomirski — ginekologia i położnictwo,
dr Zygmunt Jakubowski — analiza.

Wszyscy oni, za wyjątkiem dra Janowicza, który ukończył studia w Dorpacie, ale całe życie związał z Wilnem, są absolwentami Uniwersytetu Stefana Batorego. Podobnie było w placówkach terenowych, gdzie do pionierskiej pracy stanęli również wychowankowie Batorowej Uczelni:

dr Wilhelm Berecki — Pasłęk,
dr Władysław Gawatkiewicz — Hawa,
dr Władysław Radziwon — Nowe Miasto,

dr Janina Ludańska i dr Wacław Snarski — Ostróda,
dr Mieczysław Starkiewicz — Morąg,
dr Bohdan Sielecki i dr Leon Załucki — Giżycko,
dr Konstanty Muraszko — Nidzica,
dr Marcin Błaszczak i dr Michał Żomierowicz — Węgorzewo,
dr Wiktor Korzeniewski — Reszel,
dr Eugenia Ejnik, dr Marianna i dr Dymitr Kalinowscy — Lidzbark Warmiński,
dr Zygmunt Kozłowski — Kętrzyn,
dr Florian Piotrowski i dr Jan Sypniewski — Olsztyn.

Razem z lekarzami ofiarnie pracowali średni i pomocniczy personel, który przyjechał z Wileńszczyzny. Nie sposób wszystkich imiennie wyróżnić. Czas zaciera pamięć, a materiał źródłowy z tamtych lat już nie zawsze jest osiągalny. Dzisiaj, kiedy młody adept sztuki medycznej, nie bardzo sobie radzi w diagnostyce bez badań ultrasonograficznych, a często i komputerowych — jego starszy kolega przed kilkudziesięciami laty nie zawsze miał do dyspozycji słuchawki lekarskie i aparat do mierzenia ciśnienia. Zmuszony był do podejmowania bardzo poważnych decyzji, zdany wyłącznie na własne siły, będąc równocześnie "okrętem, żeglarzem i sterem".

Udało się szczęśliwie przeżyć wojnę, nastąpiła eksplozja zapachu. Brak sprzętu, leków, bielizny pościelowej, środków czystościowych — były niczym wobec zaangażowania oraz nadziei na lepsze i spokojniejsze jutro. Lekarze i pielęgniarki permanentnie dyżurowali w oddziałach, często tam mieszkając, nie pytali o wysokość wynagrodzenia. Przy wielu szpitalach były drobne gospodarstwa, hodowano kilka krów, które dostarczały mleka pacjentom pooperacyjnym i leczonym dzieciom. Bogactwem szpitala był koń, którym jako często jedynym dostępnym środkiem lokomocji można było dowozić żywność, opał i zarekwirowany sprzęt do szpitala.

Teraz w województwie olsztyńskim 550 pielęgniarek i położnych pozostaje bez pracy, kończący studia młody lekarz nie może dostać miejsca w szpitalu w trakcie obowiązkowego stażu podyplomowego, a w powojennych latach dla lekarzy był nakaz pracy lub wręczano wezwanie do odbycia dwuletniej służby wojskowej..

Więcej czasu poświęciłem pierwszym latom powojennym, ale gdy prześledzimy 50 minionych lat, przekonamy się, ile dokonano. W Olsztynie powstały nowe szpitale: Kolejowy, Wojewódzki, Dziecięcy, Wojewódzki Zespołowy. Rozbudowano Szpital MSW i Wojewódzki Szpital Psychiatryczny. Zmodernizowano Szpital Chorób Płucnych z nowoczesnym oddziałem Chirurgii Onkologicznej. Wybudowano nowe w terenie, a część z nich przystosowano do nowoczesnych wymogów.

Przed kilku tygodniami Szpital Miejski, po wojnie zwany Mariackim, obchodził jubileusz 125-lecia swojego istnienia. Na bazie tego "staruszka" wyrosła kadra powojennej służby zdrowia. Stamtąd swój rodowód zawodowy wywodzą ordynatorzy: prof. Edward Lenkiewicz, docenci — Laszka i Dutkiewicz, doktorzy — Szałkiewicz, Piaszczyński, Makowski, Wołkanowski, Forfa, Ankudowicz, Bławat, Rymian, Fuks i Niepsuj, którzy zorganizowali nowoczesne oddziały i wyszkolili wielu specjalistów.

Proszę mnie źle nie zrozumieć, że tendencyjnie podkreślam zasługi Pracowników Służby Zdrowia, jedynie tych przybyłych z Kresów Północno-Wschodnich — chcę w ten sposób ukazać Ich ogromny udział w ciężkiej, pionierskiej pracy. To Oni, na równi z innymi, wplatali swój laur w cierń codziennego powojennego trudu. Ówczesne władze starały się wiele faktów przemilczeć lub przeinaczyć, a wpis w personalia, że jest się absolwentem Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, czy Jana Kazimierza we Lwowie zastępowano ponurym synonimem — "ZSRR".

Dawne tradycje

ZAPUSTY, KOŃCZY SIĘ KARNAWAŁ ...

Na Wileńszczyźnie po Trzech Królach zaczynał się okres szatałowych zabaw. Uwierczeniem karnawałowych szaleństw były Zapusty. Jak zresztą chyba wszędzie, tradycja tego dnia nakazywała jeść aż 12 razy! Szczególnie suta i solidnie zakrapiana musiała być kolacja. Na Zapusty tolerowało się wszelkie obżarstwo i opilstwo, bowiem czekał długi, 40-dniowy post, podczas którego za to należało odpokutować.

W ostatni czwartek przed Wielkim Postem (zwany "tłustym czwartkiem") urządzano wielkie bale w domach i publiczne igrzyska na ulicach. Były to ostatnie dni przedpopielcowe, czyli ostatki lub dni szalone, bądź kuse (od kusego, czyli diabła). W Zapusty już od południa chodzili po domach przebierańcy. Za śpiewy i gadaninę należało się hojny poczęstunek, a do torby trzeba było wrzucić kawałek kiełbasy i dać gąsiorek wina. Młodzież bawiła się i tańczyła. Tymczasem gospościa krzątała się w kuchni, szykując już postne potrawy nazajutrz, czyli na Popielec. Do zebranych już dolatywał zapach smażonych ryb (śledzia), co zwiastowało, że wszelkie uciechy mają się ku końcowi.

Przed dwunastą kończono libację i całe towarzystwo szło do kościoła, by o północy głośno uderzyć w dzwony — na znak, że uciechy się skończyły i rozpoczyna się okres wielkiej pokuty. Po dzwonach rozchodzili się wszyscy do domów, choć nie zawsze z należytą powagą. Czasem jeszcze wesoło śpiewano, rozrabiano, bo przecież trudno tak raptem zmienić nastrój. Od rana jednak, od Popielcowej Środy, panowało ogólne skupienie i powaga.

Opr. A.P.



W dzień zapustów — różne zabawy. W kuligowym zaprzęgu — zespół z Mościszek.
Fot. Bronisława Kondratowicz.

ZNAD WILII
1996.02.15-29

5

Nie wiem, w jakim stopniu sprawa tego rodzaju może być znana odbiorcom "Znad Wilii", wobec czego pozwolę sobie na kilka słów wprowadzenia. Otóż opuszczając dawne ziemie wschodnie II Rzeczypospolitej, tysiące Polaków przenieśli się na obecny zachód Polski. Tereny te otrzymaliśmy w wyniku nowego podziału politycznego Europy po II wojnie światowej. Do tej wojny, przez ostatnie 70 lat, były to w głównej części tereny państwa niemieckiego; po 1740 roku zaś, obszary państwa pruskiego. Piszę to, aby stwierdzić, iż grubym uproszczeniem jest mówienie o wielowiekowej, nieprzerwanej obecności tu li tylko Niemców.

Kresowiacy, osiedleni na tzw. ziemiach odzyskanych, otrzymali z przydziału jakąś ziemię, domy, gospodarstwa, które stały się ich drugim domem. Dla wielu — "niestety" drugim domem, ale tak chciał los. Mieszkając na tych terenach, powoli odbudowywali zręby normalnego życia. Postawili sobie kościoły i przejęli większość dotychczasowych świątyni ewangelickich. Zbudowali szkoły, fabryki, a także cmentarze. Przy tym jednak, najczęściej, nie zwracano uwagi na dorobek poprzedników, ludzi mieszkających tu przed 1945 r. Oficjalna propaganda mówiła, że mieszkali tu Niemcy i to miało wystarczyć. Zwykle wystarczało. Po dramacie przesiedlenia, po tragicznej wojnie, wywołanej właśnie przez Niemców, kto miałby ochotę zajmować się jakimiś historycznymi subtelnosciami.

W ten sposób przez dziesięciolecia powojenne zniszczono w sposób celowy lub przypadkowy trudne do oszacowania mienie, zazwyczaj oczywiście określane jako poniemieckie. Dziś, gdy dla odmiany nastąpiła moda na bratanie się z Niemcami, gdy nikt już oficjalnie nie zgrzyta na dźwięk nazwiska Bismarck (jego wnukowie inwestują w Polsce), odkrywamy, że idąc za uproszczonym do granic językiem socjalistycznej propagandy, daliśmy się wziąć na lep. Zniszczyliśmy interesujący dorobek kultury europejskiej, nierzadko, miejsca, które szczególnie hitlerowcy, uważali także za godne... zniszczenia.

Mało kto z osiedleńców zwracał uwagę na ginące na oczach, przepiękne nieraz, cmentarze ewangelickie. Pełno ich było i są jeszcze tu i ówdzie, na zachodzie i północy Polski. Organizowano jednak, jak to się stało w mojej wsi, czynny społeczny, w trakcie których miejscowa ludność burzyła istniejące nekropolie i na przykład wywieszała w to miejsce tabliczkę z napisem: śmietnik wiejski. Chodzę tam dziś, zawsze na Święto Zmarłych, i zapalam świeczkę. Właśnie na cmentarzu-śmietniku. Staram się też, na ile mogę, wyrzucać stamtąd śmieci, do czego namawiam też sąsiadów, którzy mieszkają tu przez 40-50 lat sami na to nie wpadli.

Warto pamiętać o tej sytuacji, gdy za wschodnią granicą Polski ogląda się zdewastowane cmentarze, np. na Białorusi czy Ukrainie. Polskie, czyli przede wszystkim katolickie. Ich los, często jest analogiczny do losu ewangelickich cmentarzy w Polsce. Na których tenże sam Polak i kresowiak zaptakany z powodu swojej biedy (bo zniszczono mu grób rodzinny na kresach) nie uroniłby. Może wręcz przyłożył się do ich niszczenia.

Jakże krótka i wybiórcza jest czasem pamięć ludzka...

Eugeniusz Kurzawa

Poszukują

kogoś z rodziny **Pawłowskich i Koczanowskich**. Helena Pawłowska, córka Justyna Pawłowskiego i Aleksandry z d. Koczanowskiej, urodzona w 1907 roku i ochrzczona w kościele św. Piotra i Pawła 1 listopada tegoż roku. Prawdopodobnie mieszkali na Antokołu, w Guberni Kowieńskiej mieli majątek.

Ktokolwiek wie o losach tych osób, proszony o kontakt:

Adam Karol Koczan-Koczanowski (senior)
ul. Batorego 18/3
31-135 Kraków, Polska
Tel. 8-1048-12-34 28 25 (d.), 21 98 53 (st).

PEJZAŻE ZE WSPOMNIENI I ZZA SZYB OKIENNYCH MALOWANE

Anna Krepsztul znana jest jako malarka. Utrwalająca miękko i subtelnie pejzaże Wileńszczyzny, ze szczególnym umiłowaniem widoków znad brzegów Mereczanki. Na płótno przenosi też kwiaty rosnące na naszych łąkach, pielęgnowane w naszych ogrodach. Wytworzyła całą galerię portretów osób sobie bliskich. Odkąd Polak został papieżem, jego postać nosi w sercu, zaś podobizna Ojca Świętego ma honorowe miejsce w jej drewnianym domku w Taboryszkach, odległych 8 kilometrów za Turgielami, tuż przy granicy z Białorusią.

Ileż obrazów wykonała? A któż to policzyć! Setki, jeśli nie tysiące. Teraz to i o nabywcę łatwiej — obrazy zamawiają organizacje polskie, przybywają turyści. Szczególnie latem, kiedy gruntowa droga od Turgiel do Taboryszek jest bardziej przejezdna. Prawda, pani Anna ma dobre serce, i pieniądze za obrazy często nie bierze. Uśmiechnięta, życzliwie nastawiona do ludzi i świata, jakoś sobie radzi.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie była osobą niepełnosprawną, w dodatku samotną, poruszającą się na inwalidzkim wózku. Brat, który mieszka w Polsce, nie może przyjeżdżać zbyt często. A jak przyjedzie, to jest nieoceniony. Wynalazca z zamiłowaniem, jakich tylko urządzeń siostrze nie wykombinował z materiału, jaki znalazł pod ręką! Włącznie z podnośnikiem z wózka na łóżko. Elektrycznym. Na wypadek wyłączenia prądu, co w tych okolicach zdarza się znowuż nie tak rzadko — jest wariant ręczny.

Każdy, kto przybywa do tego domu, podziwia czystość, ład i porządek. Chwali pyszne ciasteczka wypiekane przez gospodynię, choć sama ich nie jada ze względu na cukrzycę. Porządkuje, gotuje sama. Ukochana siostra — Danusia, która jest nauczycielką w Turgielach — dostarcza żywności, dowiaduje się jak zdrowie. Całe szczęście, że jest telefon. W razie potrzeby można zadzwonić na pogotowie, wywołać lekarza.

Siostra oczywiście, ma swoją rodzinę i swoje problemy, więc pani Anna myśli, jakby tu jej pomóc. Tym bardziej, że były kłopoty rodzinne, problemy z synami. A z drugiej strony, to komu dzisiaj się przelewa?

Dawniej też było niełatwo. Ale za obrazy kołchoz robił remonty, dbał o domek. Teraz kołchoz się rozwalił. Oparcie — tylko w ludziach. Lubią tu panią Annę wszyscy, ale każdy też ma swoje biedy. Zimą bywa, że niekiedy i przez dłuższy czas mało kto zaglądnie.

Tak było i ze mną. Kiedyś, przed 10 i więcej laty, bywałem w Taboryszkach częściej, teraz jest to cała wyprawa. I tego grudniowego dnia, przy kawie i kruchych ciasteczkach, wspominaliśmy razem — ile to już czasu nie było okazji sobie pogadać.

— Malować zaczęłam 18 lat temu, kiedy przestałam chodzić. Była to ucieczka od życia. Dziś jest to pasja, która też pomaga o wielu rzeczach zapominać. O wszystkim, na co nie mogę sobie pozwolić ze względu na stan zdrowia — mówi malarka. Tłumaczy osobom mi towarzyszącym, że jest samoukiem, choć sztuka zawsze ją wciągała. Jeszcze w dzieciństwie, kiedy to cenny rad udzielał jej ojciec, nauczyciel w miejscowej szkole, który tu, na uboczu Taboryszek, i domek ten wybudował.

Jakże tęskniła w pierwszych latach choroby za przyrodą, za zakątkami, które tak kochała! Przydały się wcześniejsze szkice. Ponadto na obrazach żyje świat wspomnień, bo Mereczanki w takiej postaci już nie ma — po melioracji krajobraz wygląda inaczej. Przez okna odlicza pory roku, by swoje wizje osadzić w potrzebny kolor.

— To takie dożywnie, domowe "więzienie" — żartuje — czasem robi z człowieka artystę, bo czymże bym się zajął? Dzięki Bogu, była to malarstwo potrzebne ludziom, mam bardzo dobrych sąsiadów, którzy starają się pomóc. Ja — im obrazki, portrety dzieci, wnuków, oni — mleko, różne inne rzeczy. To poważnie odciąża moją siostrę. I księża mnie odwiedzają.

Z ks. Aleksandrem Kaszkiewiczem, dzisiejszym biskupem, zapoznała się w szpitalu. Panią Anię na śmierć dysponował — "miała nie dożyć do wieczora". Ale poszło na dobre. Po dwóch miesiącach, kiedy wróciła do domu, zaczęła się przyjaźń z księdzem. Odwiedzał po cztery razy

do roku, ze Mszą św. To było wielkie święto, przychodzili sąsiedzi. Teraz przyjeżdża raz do roku bliżej imienin, bo ma dalej, aż z Grodna.

Najczęściej odwiedza ją ks. Józef Aszkiełowicz, który jest w Turgielach. Czasami przyjeżdża, by przywieźć świeżą bułeczkę... W Taboryszkach teraz księdza nie ma, dojeżdżają z Miednik franciszkanie. Nie zapomina i ks. Henryk Naumowicz, który tu kiedyś był proboszczem, bez względu na pogodę przyjeżdża stale ks. Dariusz Stańczyk, który po 7 miesiącach pracy w Taboryszkach zostawił bardzo trwałe ślad.

Niedzielnymi słucha mszy z kościoła św. Krzyża w Warszawie, którą nadaje Program I Radia Polskiego. Mówi, że dzięki temu ma oparcie moralne na cały tydzień.

— Nie mogę sobie pozwolić na zbyt częste słuchanie radia, choć ostatnio dostałam w prezencie odbiornik z magnetofonem, bo nie słyszę wtedy telefonu — z aparatem słuchowym kontakt bywa utrudniony. — przyznaje z nutką żalu.

Gospodyni dużo opowiada o ludziach bliskich jej sercu. W rozmowie dzieli ich na "miejscowych" i "przyjezdnych". O wszystkich mówi ciepło, mówiąc o tych ostatnich dodaje, że nie wszystkich dobrze poznała. A niektórych sąsiadów to przecież zna od dziecka. Na przykład, Włostowiczów, Wołodkiewiczów, panią Kowalewską, innych. Z szacunkiem mówi o nauczycielach, listonoszce Bartoszewiczowej, która nie tylko przynosi korespondencję, ale i odnosi listy, czyni niezbędne zakupy, załatwia różne inne sprawy. W dni słotne posiedzi razem, opowie co dzieje się w okolicy, o czym ludzie mówią...

A jak radzi sobie z codziennymi sprawami — z opałem, wodą, — pytamy.

— Ogrzewanie jest elektryczne. Samorząd rejonu sołecznickiego opłaca. I to jest największy prezent na zimę. Z wodą były problemy, dostarczano ją z fermy. Ale została ona arterezyjkiej studni. Na razie jeszcze korzystam z dawnego wodociągu. — mówi pani Anna. A po chwili — Wieczorami staram się szyć, haftuję. Jak wypożyczę wideo od księdza w Turgielach, to i więcej sąsiadów przychodzi.

Po chwili rozmawiamy o tym, że uprawianie sztuki staje się zajęciem coraz bardziej kosztownym — droższą farbę, wszystkie usługi, nie każdego więc stać na zakup obrazu czy książki. Pani Anna na brak zamówień nie narzeka — ma też je z Polski. Kiedy było materialnie ciężko siostrze, w Macierzy miała pięć wystaw, cztery — w Ełku i jedną — w Białymstoku. Jedną wystawą, składającą się z 60 obrazów, to nawet miała miejsce w Chicago. Dochód przeznaczona na Uniwersytet Polski w Wilnie. Obrazy trafiły do ponad 20 kościołów, umieszczone zostały przeważnie w ołtarzach. 7 obrazów znalazło się w Polsce, w wymienionych miastach, ale też i w Warszawie. Jeden trafił do parafii w Rostowie nad Donem, inny — do Witebska, niedawno kolejny — do nowo zbudowanego kościoła w Onzadowie na Białorusi. Najczęściej były to obrazy z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej.

— Kiedyś przychodziły mi z pomocą dziewczynki, a to śmiecie wyniosą, a to kwiatków polnych uzbierają, a to coś z ogrodu potrzebuję. Malowałam im w dowód wdzięczności portrety — opowiada malarka. — Dziś wiele z tych panienczek już powychodziło za mąż — i każda w prezencie otrzymała ode mnie właśnie obraz z Ostrobramską Panią. Z takim błogostawieństwem poszły w świat.

Kiedy pracował tu ks. Dariusz Stańczyk, kontakty z młodzieżą były częstsze, przychodzili harcerze. Pani Anna bardzo ciepło wspomina



Anna Krepsztul: To takie dożywnie, domowe "więzienie" robi czasem z człowieka artystę...

Fot. Autor

energicznego księdza, który potrafił zapalić ciepłe płomyki w sercach tutejszych, spracowanych, a często i zrezygnowanych parafian. Kiedyś razem urządzili Zapusty, z pieśniami, wspominkami. Było bardzo wesoło i rodzinnie.

— Wiem, co to bieda. Staram się pocieszyć siebie i innych. Wieczorami — bywa — to i popłaczę sobie, kiedy nie widzą tego inni. W życiu miałam tylko 47 złamań — brak wapna powoduje słabość kości. Pękają i łamią się od słabych nawet uderzeń, a czasami wystarczy zwykły skurcz. Ostatnio, to nawet nie jadę do szpitala. Na miejscu mnie biorą w deseczki, bandażują — i jakoś się zrastam na nowo. Wszystko jedno nie chodzę. — zwierza się.

Odwiedza ją miejscowa lekarka, przybywa też na każde wezwanie. Jak trzeba, robi zastrzyki. Ktoś wtrąca, że śladów tych wszystkich chorób wcale nie czuć w optymistycznym usposobieniu gospodyni.

— Jeślibym zaczęła rozpaczać, to bym się całkowicie załamała — mówi. — Ani bym pracowała, ani bym komu była potrzebna. Można mówić górnolotnie o obrazach, kiedy się je po sobie zostawia, ale obrazów na świecie jest wiele... Chcę nadal być wsparciem dla siostry i jej rodziny. Dla niej właściwie żyję, bo wszystko inne jest względne. Nauczyłam się po chwilowych rozterkach szybko brać siebie w garść. I wszystko staje na swoje miejsce — cieszę się gośćmi, przyjmuję delegacje i wycieczki... I samotnie codziennie zasiadam do sztalug.

* * *

Pani Anna Krepsztul żegna nas dobrym słowem. Jak uzbiera odpowiednią ilość obrazów, zgadza się na wystawę w naszej redakcyjnej galerii. A może się ją da szybciej zorganizować, wypożyczając obrazy, jakimi hojną ręką obdarzyła ludzi, różne organizacje i placówki — zastanawiamy się na odchodnie. Już tylko rzut oka na przyprószone śniegiem sad, pewien problem z wyjechaniem śliską polną drogą. W oknie — pogodna twarz pani Anny.

Potem przyszła sroga zima. Czy w czasie mrozów nie zamarzną wodociąg, czy obfite śniegi nie zawiąły bocznej drogi, która na uboczu i po cichu prowadzi do małej i zapomnianej miejscowości Taboryszki, gdzie polska mowa przepłata się z białoruską, zaś jej mieszkańcy z ciekawością oglądają się za rzadkimi samochodami w tych stronach z rejestracją wileńską. Rzeczywiście, jakie to szczęście, że jest jeszcze telefon...

Romuald Mieczkowski

NASZE MAŁE OJCZYZNY



Człowiek osiąga wiek dojrzały i przychodzi czas na analizę wszystkiego, co było w życiu. Kiedy sięgam pamięcią do przeszłości, czuję się szczęśliwa. Najgłębsze przeżycia pochodzą z lat dzieciństwa i wczesnej młodości.

Często myślami wracam do swego rodzinnego Wilna. W naszym domu wszyscy lubili grać i śpiewać. Mama śpiewała i grała na gitarze, tatuś grał na skrzypcach, bracia i ja — na mandolinie. Ten śpiew chwycił za serce. Będąc młoda, nie zdawałam sobie sprawy, jak piękne wieczory były u nas w rodzinie. Miałam szczerą, dobrą koleżankę, z którą chodziłam na majowe nabożeństwa do Ostrej Bramy i jeździłam rowerem na Zielone Jeziora, do Czarnego Boru, do Białej Waki.

Dziś miasto wygląda tak samo jak wówczas, kiedy z niego wyjechałam. Kiedy teraz przejeżdżam, chodzę po znajomych podwórzach i ulicach. Wszystko jak dawniej. Tylko

Konkurs A JA WILNO W SERCU MAM...

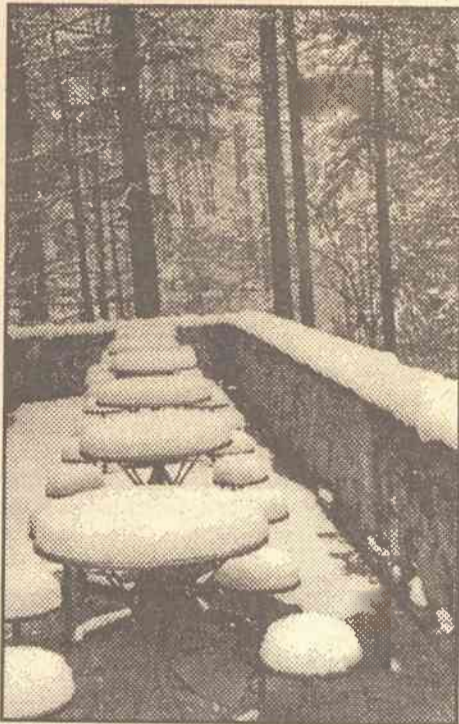
ludzi z czasów mego dzieciństwa prawie już nie ma. Często przechodzę koło domku, gdzie spędziłam szczęśliwe lata, które już nigdy nie wrócą. Zatrzymuję się w tym miejscu i żal mi odchodzić, gdyż nie chcę rozpraszać czystego nastroju dzieciństwa.

Podczas nauki w gimnazjum przeżyłam pierwszą miłość. Tego chłopaka Niemcy zabrali "na ciężarówkę", wprost z podwórka gimnazjum. Burze wojny nie zagłuszyły tego uczucia. Często dziękuję Bogu za swą piękną młodość. To był czas stódkich marzeń i nadziei. Bardzo mi było ciężko rozstać się z Wilnem. Tam zostawiłam wiele tego, co drogie sercu. Chociaż przebyłam tysiące kilometrów po różnych drogach, ciągle żywię prawdziwą miłość do tego miasta. Tu każda cegła domu, zakręt ulicy, słup latarni, drzewo w ogrodzie, stara ławeczka, skrzyżująca bramka, przypomina tamte jasne dni. Nawet zapach powietrza jest szczególny, wprost miodowy. Obok — kasztany, a korony drzew szumią bardzo żałośnie. Kiedy w "Znad Wilii" widzę rodzinne strony, odczuwam pogodny smutek. Przypominam siebie jako dziewczynkę na ulicy Szkaplernej. Jednak życie ułożyło się zupełnie inaczej, niż wtedy sobie wymarzyłam. Tak to już bywa. Często powtarzam sentencję, że trzeba schować dobrze w kieszeni swoje dzieciństwo, ponieważ jest to wszystko co czasami posiadasz.

"Znad Wilii" jest mi formą ucieczki przed samotnością, czyni życie barwniejszym, na chwilę daje zapomnienie, że jestem na obczyźnie. Daleko teraz ode mnie są te wody, które płyną nadal w Wilii. W międzyczasie nie jeden raz spadały deszczami i znów zamieniały się w parę. Pędzone wiatrem, obłokami płyną nad nami.

Witaj, moja droga "Znad Wilii"! Dzięki łaskawym sercom Wydawców czasopismo dociera i do mnie. Mocno ściskam Wasze pracownice dtonie i życzę zdrowia oraz natchnienia do pracy.

Weronika Jurjewa
Kowrow, obw. wladimirski
Rosja



Śniegu napadało jak nigdy, obfita biała pieczyzna grubą warstwą zaznaczyła wszędzie obecność zimy...

Fot. Romuald Mieczkowski

POLACY W BELGII

Chodził po kuchni w ślad za żoną, poprawiając to i owo. Nie, żeby jej nie ufał, ale już takie miał przyzwyczajenie. Dzisiaj chciał, by przyjęcie wypadło szczególnie dobrze. Spodziewali się na obiad wujka z Polski.

Zszedł do piwnicy po wino na aperitif. Myślał o tym, jak przed pięć laty wybrali się z żoną do Polski. Pierwszy raz w życiu. Od ojca wiedział, że nie przelewa się tam. Wzięli więc trochę taniej żywności w konserwach, założyli najskromniejsze ubrania, trochę używanych rzeczy zapakowali na prezenty... Ile się potem nacierpieli wstydu! Rodzina przyjęła ich przy suto zastawionym stole, wszyscy byli wystrojony według europejskiej mody, w podarunku ofiarowali gościom srebrny serwis do kawy...

Wtedy też zdał sobie sprawę z różnicy mentalności. On, Andrzej Bochańczyk, a właściwie Andre Bokanzky, chyba nie umiałby żyć według zasady "zastaw się, a postaw".

Przyszedł na świat w jednej z dzielnic Retinne, zwanej polską. Jako dziecko emigrantów, którzy radzili sobie nienajgorzej na belgijskiej ziemi. Matka prowadziła dom. Według tradycji, przywiezionych spod Katowic. Ojciec pracował w kopalni. Ale nigdy nie stał na kolanach wydłubując węgiel. Był, podobnie jak większość Polaków, na kierowniczym stanowisku. "Po to nosił głowę na karku, by nie brudzić rąk".

Andrzej stanowił dumę rodziców. Garnął się do nauki, przyjaźnił się z dziećmi z dobrych domów. Najbardziej cenili sobie towarzystwo Polaków i Belgów. "Inni nie mieli tej kultury". Jeszcze jako mały chłopak marzył o tym, że pewnego dnia pojedzie do Polski po narzeczoną. Tak jak to było w zwyczaju najlepszych rodzin z Retinne.

Anne-Marie zauważyła na jednej z prywatek. Miała długie czarne włosy i duże, takiegoż koloru oczy. Nie tańczyła, nie śmiała się. Wydawała się być bardzo poważna. Podobała się mu. Wypytał o nią znajomych. Była córką Włocha, górnik. Na początku nie mógł tego przeboleć. Rodzice nigdy jej nie zaakceptują. W Retinne uważano Włochów jakby za prostaków. Zazwyczaj nie mieli dobrych manier ani większych ambicji. Włosi z kolei nazywali Polaków *les charlatans* (ci, którzy wynoszą się ponad stan).

Serce wzięło górę. Andrzej zakochał się nie na żarty. Dziewczyna była skromna i bardzo

SPECJALNIE DLA "ZNAD WILII"

Leokadia Komaiszko

miła. Jego rodzice jeszcze o niczym nie wiedzieli. Jej — przeganił go jak natręta. Mimo to, uparcie wystawał pod drzwiami ich domu z nadzieją, że zobaczy Anne-Marie. Czasem matka się zlitowała i chyłkiem wpuściła go, albo córce pozwoliła wyjść. A przecież oboje mieli już prawie po 19 lat! Oboje pracowali. Ona sprzątała w sklepie, on miał etat radiotechnika w fabryce.

"Zostań moją żoną" — poprosił któregoś dnia nieśmiało. "Zostań moim mężem, kochanie" — usłyszał ciepłe i bardzo naturalne słowa. Aż się zdziwił, bo był przygotowany na kokieterijną odmowę i to niejedną. Lecz Anne-Marie nie była kapryśną panienką.

Matka Andrzeja płakała. Ojciec rugał go oschle, że łącząc się z Włoszką, nigdy nie będzie miał prawdziwego domu.

... Anne-Marie nakrywała stół w jadalni. Na tę okazję wybrała ślubną zastawę. Andrzej ustawiał tacki z orzeszkami i ciastkami do ape-

DOM

ritifu. Zapalał lampy w salonie. Mamrotał sobie pod nosem, zastanawiając się, czy wszystko robi jak należy. Zapomina się przecież z czasem. Goście przychodzą nie tak znów często. Przyjęcia są raczej kosztowne. Szczególnie, gdy splanca się pożyczkę na dom i ma się na utrzymaniu dwóch dorastających synów.

— No i co, kochanie, nie cieszysz się? — Anne-Marie podbiegła do niego, przytuliła się — zupełnie tak samo jak przed dwudziestu laty. — Zobacz, jaki świąteczny jest teraz nasz dom!

Uśmiechnął się. Lubił swój dom. Był ciepły, czysty, urządzony w dobrym stylu. Dębowa jadalnię to on wypatrył, ale kanapy do salonu wybierała Anne-Marie. Też ma dobry gust. Choć ostatnie zdanie zawsze należy do męża. Zostało tak od początku. O wychowaniu synów też on decyduje. Pomimo że matka jest z nimi na co dzień, bo nie pracuje zawodowo. Odkąd urodziła pierwsze dziecko, chciał, by została w domu. "Więcej korzyści przyniesiesz w ten sposób, a pieniądze na życie ja zarobię" — powiedział.

W fabryce jest cenionym fachowcem. Ponad dwadzieścia lat na tym samym miejscu.

Zartuje nieraz, że, podobnie jak ojciec, ma spracowaną głowę. A na dłoniach żadnego odcisku. Pojawia się coś czasem, gdy z żoną porządkuje w ogrodzie krzewy różane. Ale to tylko przyjemność.

— Maman, umieram z głodu! — rozległo się w kuchni prawie jednocześnie z szarpnięciem drzwi. To najstarszy, Kristoff, wrócił z rowerowej przejażdżki. W tym roku skończył dziewiętnaście lat. Studiuje fizykę na uniwersytecie w Liege. Mądry chłopak. Cały w ojca. Nawet oczy ma tak samo błękitne i blond włosy. Zazwyczaj greczny i spokojny, zbuntuje się czasem: koledzy ganiają na motorach, niektórzy nawet samochody już mają, a on ciągle na rowerze, jak dziecko. Rodzice mają na to zawsze tę samą odpowiedź: "Pójdiesz pracować, zarobisz i kupisz. My cię żywimy, ubieramy, uczymy. Na więcej nas nie stać". Co miesiąc otrzymują na każde dziecko 4 tysiące franków dodatku rodzinnego tzw. allocation familiales. Tyle kosztują np. firmowe dzinsy w dobrym sklepie. Kristoff nie ma drogich ubrań. Podobnie jak jego młodszy brat. Za to nie brakuje mu podręczników i rok studiów ma zawsze przez rodziców opłacony.

Ludwik, albo "Luduś", jak mówi do niego babcia Alina, uczy się zawodu stolarza. Nie jest tak ambitny jak "Krzysiu". Z urody — wykapaną matką. I tak samo "przytulański" jak ona. Tego lata pracował. Pomagał pewnemu panu przy naprawie samochodu. Codziennie miał za to tysiąc franków. Zarobił sobie na buty "Harley Davidson" i skórzaną kurtkę. Z czasem może kupi motocykl.

... Andrzej nalicza sobie jeszcze z dziesięć lat napiętego życia. Póki synowie się usatkwają, póki spłaca się pożyczkę na dom, póki przejdzie się na emeryturę. Wtedy będą mieli z Anne-Marie więcej czasu dla siebie. Wtedy pojedą raz jeszcze do Polski. Chciałby zobaczyć Tatry. Anne-Marie marzy o Paryżu i o... Brukseli. Może wstyd się przyznać, ale jeszcze tam nie byli. Nareszcie porządnie zajmie się ogrodem. No, i jeśli będzie miał wnuków, nauczy je rozmawiać po polsku. To jednak, piękny język. Ludwik i Kristoff znają pojedyncze słowa. Od babci.

... Rozległ się dzwonek do drzwi. To goście. Andrzej poczuł nagłą treść: czy wuj zrozumie jego polszczyznę? Tak dawno jej nie używał...

Nawiązujemy międzynarodowe

KONTAKTY
MATRYMONIALNE.

Fotooferty kierować:

"Stokrotka"

10-900 Olsztyn, Box. 346, Polska

PRENUMERATA

Jej cena na jeden miesiąc dla Czytelników na Litwie wynosi 1,60 Lt z dostarczeniem. Zaabonować pismo można w urzędach pocztowych lub w galerii polskiej do 10 dnia każdego miesiąca.

Nasz indeks: 67248

Informacji można zasięgnąć telefonicznie:

22 42 45, 22 30 20

Prenumerata roczna w Polsce wynosi 76 zł, półroczna — 38 zł, kwartalna — 19 zł. Wpłaty należy dokonywać na konto Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej: Bank BP, oddział II Warszawa, nr 1528-159317-132-101, "Znad Wilii".

Wysokość prenumeraty w krajach Europy Zachodniej, Ameryki i Australii — 88 USD lub 56£. Zaabonować pismo można na dowolny okres, przesyłając czeki na nazwiska wydawców i adres redakcji.

Prenumerata w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej — 30 USD rocznie.

Drodzy Państwo, prosimy pamiętać, że prenumerując "Znad Wilii" wspieracie Państwo niezależną prasę polską na Litwie i udostępnianie ją Czytelnikom na Wschodzie!

CENNIK OGŁOSZEŃ

1 cm kw. — 2 Lt (1,20 zł).

Ceny ogłoszeń na pierwszej i ostatniej stronie są wyższe o 100 proc. Przy dostarczeniu ogłoszenia gotowego do druku stosujemy zniżkę wysokości 10 proc. Taką samą zniżkę stosujemy przy drukowaniu ogłoszeń o wymiarach powyżej 400 cm kw. (pół strony gazetowej) i 20 proc. — za całą stronę.

Przy powtórzeniu stosowany jest rabat wysokości 10 proc. Redakcja udziela prowizji za dostarczanie ogłoszeń.

Ilganytojo 2/4, 2001 Vilnius

tel. 22 42 45, tel./fax 22 34 55

Chcesz zarobić — zgłoś się do "Znad Wilii"!

Jeśli masz czas, zastanów się nad naszą ofertą.

Redakcja zatrudni kolporterów pisma.

Jest to zajęcie nie do odrzucenia dla emerytów, okazja dla uczniów, szczególnie w okresie wakacji.

Mile widziana współpraca z pracownikami organizacji społecznych i placówek kulturalnych. Zwracać się tel.: 224245.

Redakcja poszukuje dystrybutorów na terenie Polski. Oferty prosimy kierować na adres:

Ilganytojo 2/4, 2001 Vilnius

POLSKIE STUDIO DOKUMENTALISTYKI

w Wilnie proponuje swe USŁUGI W FILMOWANIU.

Na sprzęcie wysokiej klasy utrwalamy uroczystości, wykonujemy tematyczne zlecenia.



Tel. 22 30 20, 22 42 45, 47 53 98.

"Znad Wilii" — niezależny dwutygodnik społeczno-kulturalny
Adres redakcji: 2001 Vilnius, ul. Ilganytojo 2/4, tel.: 224245, fax 223455; Polska Galeria: tel.: 223020
Red. naczelny: Romuald Mieczkowski. Wydawca: VanRoma S.A. — prezes Wanda Marcinkiewicz-Mieczkowska
Konto: 400467987 Komerccinis bankas „Vilniaus bankas”, kod 260101777
* Skład komputerowy. Druk offsetowy * Drukarnia S. A. „Spauda” * SL 160 * Indeks 67248
* Podpisano do druku 14 lutego 1996 r.

Oferujemy swe usługi przy kopiowaniu o formatach nie większych A3.
Zamówienia — nie mniej niż 500 egz. — prosimy zgłaszać telefonicznie: 224245 i 223020

ZNAD WILII
1996.02.15-29

7

Po euforii z odzyskania niepodległości i wolności w Europie Środkowo-Wschodniej i Wschodniej nastąpił czas refleksji, próba bilansu pierwszych sukcesów oraz nowych, rodzących się zagrożeń. Charakter książki Cywińskiego odbiega od tak modnych obecnie, naukowych analiz procesów transformacji: społecznej, politycznej, gospodarczej. Autor za podmiot swych refleksji obrał bowiem nie ekonomię, lecz kulturę, tradycję, dziedzictwo. Wokół tych pojęć snuje opowieść o współczesnej tożsamości społeczeństw i narodów Litwy, Białorusi, Ukrainy, Rosji. Sięga od Mołdawii na południu po Balticum na północy. Dla Polski — jego zdaniem — sąsiedztwo to określa miejsce i sposób uczestnictwa w Europie. Stąd w centrum uwagi tkwią pytania właśnie o Polskę i Polaków: Czym chcemy być w Europie? Co nowego wnosimy do jej współczesnego obrazu?

Postawienie tych pytań ma nie tylko intelektualny wymiar. Wynika również z życiorysu i osobistego doświadczenia Autora. Pochodzi on z polskiej rodziny, która od 1792 roku żyła pod panowaniem carskim. W naturalny sposób więc w jego rodzinnej tradycji wpisany jest i ucisk "samodzierzawia", i głębokie zrozumienie czy wręcz fascynacja Wschodem, rosyjską kulturą, prawosławiem. Urodził się już w niepodległej Polsce w 1939 roku. Przed 1980 rokiem związany był z legalną (środowisko czasopisma "Znak", ruch Klubów Inteligencji Katolickiej) i nielegalną opozycją polityczną w Polsce. Po ogłoszeniu stanu wojennego przebywał na emigracji, głównie w Szwajcarii, gdzie wydawał własne pismo. Jego eseistyka historyczna dotyczyła istotnych problemów historii Polski, m.in. dziejów chłopów. W latach 70-80. znany był przede wszystkim jako autor prawie "kultowej" książki środowisk opozycyjnych "Losy niepokornych", która w historycznym kontekście ukazywała siłę i znaczenie postawy moralno-etycznej w konfrontacji z bezprawiem władzy.

Przedstawione w prezentowanej książce rozważania są bezpośrednim wynikiem podróży, jakie odbył na początku lat 90. Opublikował je najpierw, w latach 1992-1994, na łamach "Rzeczypospolitej". Eseistyczna forma książki może wywołać niezadowolone i dystans profesjonalistów. Takie, z góry negatywne, założenie byłoby krzywdzące dla Autora. Porusza się on bowiem ze znajomością i wyczuciem po meandrach skomplikowanej historii Europy Wschodniej. Przede wszystkim jednak stawia podstawowe pytania, dotyczące miejsca kultury i dziedzictwa kulturowego (z ich geopolitycznymi uwarunkowaniami) w kształtowaniu nowej tożsamości społeczeństw tego zakątka Europy. Subiektywne, ale poparte wiedzą i osobistym doświadczeniem odpowiedzi, mogą budzić kontrowersje. Na pewno jednak prowokują do myślenia i refleksji.

Gdzie leży Europa Wschodnia? Pytanie to jakby mimochodem nawiązuje do fundamentalnego problemu, którym zajmował się Oskar Halecki (*Historia Europy i jej podziały*), Jenő Szűcs (*Die drei historischen Regionen Europas*) czy też piórem Klausa Zernacka również "Nordost-Archiv", Bd.1. Cywiński nie sięga do tych naukowych analiz, mimo to, z dużym wyczuciem historii i krajobrazu historycznego granicę między Europą Środkową a Wschodnią dostrzega wyraźnie wzdłuż biegu Wisły. W ten sposób Polska nie tylko graniczy, ale jest też z historycznego punktu widzenia, przynajmniej w części, elementarnym składnikiem Europy Wschodniej. Z faktu tego nie wynika jednak, że współczesnie region ten stanowi jakąś określoną jedność geo-

polityczną. Została ona zerwana wraz z upadkiem ZSRR. By zrozumieć spuściznę komunizmu, Autor próbuje odkryć i ocenić istotę doświadczenia historycznego, jakie przeżywają obecnie dawni obywatele sowieckiego imperium. Wyraźnie przy tym dystansuje się od prostych analogii do społeczeństwa polskiego. Dostrzega bardziej różnice niż podobieństwa. Wbrew wielu opiniom przeciwstawia się tezie o zaniku zapotrzebowania na ideologię w krajach postsowieckich. Wręcz odwrotnie *nigdzie dziś chyba nie ma takiego zapotrzebowania na prawdę, filozofię, religię, gnazę, ideę wyjaśniającą świat, jak właśnie na gruzach Sowietów...* Pierwszym symptomem tego jest "cud" odrodzenia narodowego, rozumiany nie w kategoriach politycznych, lecz właśnie kulturowych. By jednak mogło się spełnić pozytywne oddziaływanie kultury, poczucie tożsamości narodowej musi mieć szansę swobodnego rozwoju. Tylko wtedy zdoła oczyścić się z elementu nacjonalistycznej agresji oraz ocen poddanych zideologizowanym stereotypom. W odrodzeniu narodowym dostrzega też elementy zagrożenia. Należy do nich m.in. wskrzeszanie "rosyjskiej teologii politycznej", odżywianie stereotypów i starych urazów wobec sąsiadów. Zjawiskami tymi w równym stopniu obciążeni są wszyscy. W Polsce np. objawia się to lekceważącym stosunkiem do kultury rosyjskiej, postrzeganiem Rosjan przez pryzmat zaborców, człowieka sowieckiego, czerwonoarmisty — jako uosobienie grubiaństwa i braku kultury. Wyzwolenie się z tego prymitywnego spojrzenia jest, ze względu na doświadczenia historyczne, niezwykle trudne. W rosyjskich podręcznikach z lat 1989-1990 relacja o rozbiorach Polski pokrywa się ze słynnym, carskim podręcznikiem Iłowajskiego. Notatki o dziewiętnastowiecznych przedstawicielach kultury polskiej znajdują się nadal w rozdziałach: "Kultura narodów Rosji" (!).

Podobnych przykładów splatania się historii z nową tożsamością Cywiński przytacza wiele. Swoją książkę konstruuje na zasadzie czarno-białych kontrastów, by we wnioskach szukać "złotego środka": drogi do wzajemnego zrozumienia i porozumienia. Z jednej strony ukazuje panującą na zewnątrz subkulturę komunizmu (brud, wzajemna wrogość), pod nią natomiast znajduje niespotykaną na Zachodzie i zanikającą w Polsce otwartość i ludzką życzliwość wobec obcych.

W książce Cywińskiego poruszanych jest wiele wątków. Nie sposób omówić ich wszystkich. Jednym z najcenniejszych są rozważania na temat dziedzictwa kulturowego. Problem ten ma szerszy charakter i nie dotyczy tylko Polski i jej wschodnich sąsiadów. Równie dobrze mógłby być przesłaniem polsko-niemieckiego czy czesko-niemieckiego pogranicza kultur. Czym jest obce (głównie polskie) dziedzictwo kulturowe w krajobrazie i i twy, Ukrainy, Białorusi...? Czy należy ono tylko do historii? Stawia niebezpieczeństwo dla obecnych jego gospodarzy czy też jest szansą emancypacji z narodowych ksenofobii? W swoich wędrowkach Autor prawie wszędzie spotyka ślady kultury polskiej. Stara się specjalnie nawet dotrzeć do miejsc już prawie zupełnie zapomnianych, ale które w kategoriach kultury (nie tylko polskiej) zajmują bardzo ważne miejsce. Zdecydowanie opowiada się za ich powrotem do świadomości zbiorowej narodów Europy Wschodniej. Występuje jednocześnie przeciw ich sztucznej ukrainizacji czy lituanizacji: *W dziejach wielu kultur narodowej i Wschodniej były okresy, kiedy współzycie z silniejszym sąsiadem było dla tego słabszego partnera*

*korzystne. Za cenę poddania się dominacji uzyskiwał szansę uczestnictwa w kulturze uniwersalnej. Przeżyli taką szansę Litwini w Rzeczypospolitej, Słowacy na Węgrzech, a Czesi — w Cesarstwie Rzymskim Narodu Niemieckiego. Okazję taką należy umieć wykorzystać, a potem trzeba umieć się z dawnej zależności wyzwolić i stanąć na własnych nogach. Te rozwoje kultur z reguły bywają konfliktowe i bolesne. Tę myśl — o czym autor nie wspomina — można częściowo również odnieść do niemieckiego dziedzictwa w Polsce. Jednocześnie przestrzega jednak przed "grzechem arogancji", to znaczy oceną innych w kategoriach "lepszych" i "gorszych". Takie uproszczenia dostrzega m.in. u swoich rodaków. Z godnym podkreślenia krytycyzmem pisze: *Polacy są na pewno najbardziej zaradczymi i skłonni do generalnego lekceważenia wszystkich swych partnerów. Jako członkowie narodu najliczniejszego, reprezentującego najbogatszą kulturę i najdłuższą państwowość, uważają się najczęściej za lepszych ex definitione od innych, co więcej, lubią podawać w wątpliwość fakt istnienia niezależnych od polskiego wkładu narodowych kultur — litewskiej i białoruskiej.* W "obcym dziedzictwie kulturowym" widzi Cywiński jedną z szans dla tworzenia się społeczeństwa obywatelskiego w krajach Europy Wschodniej. Kontynuując tę myśl, można powiedzieć, że szansę taką ma również Polska z jej bogactwem spuścizny żydowskiej (szkoda, że ten wątek Autor zupełnie pomija) czy niemieckiej. Postrzeganie rozwoju kultury europejskiej przez pryzmat konfliktów ostatnich dwustu lat lub też w kategoriach politycznego "Drang nach Osten" raczej zamazuje niż wyjaśnia jej współczesną mozaikę kulturową. Poszanowanie "obcej kultury" nie jest tylko zależne od jej nowych gospodarzy. Wymaga także otwartej postawy byłych właścicieli dóbr kultury. Wyrazić ją może najpełniej tolerancja i dążenie do partnerstwa.*

Dużo miejsca poświęca Cywiński problemowi odradzających się Kościołów i życia religijnego. Stałym wątkiem, przeplatającym się w całej książce, jest próba ukazania własnej "filozofii politycznej". Ten jednak właśnie element wydaje mi się najbardziej problematyczny. Cóż bowiem znaczy np. następująca myśl: *Sądzę, że nigdy nie będzie w Królewcu ani prawdziwej Rosji, ani prawdziwych Niemiec, choć obie potęgi zachowują tu swe znaczące wpływy. I chyba nie dojrzeje tu żadna nowa tożsamość narodu. Spodziewać się należy raczej wytworzenia się spotykanej tu i ówdzie społeczności miast portowych i ich przyległości, społeczności międzynarodowych, etnicznie nieokreślonych, a kulturowo mieszanych.* Jak dla mnie, jest to zbyt duży skrót myślowy. Więcej w nim wizjonerstwa, niż rzeczowej analizy sytuacji. Ciekawe są natomiast uwagi odnośnie politycznego zagrożenia tożsamości i samodzielności byłych republik ZSRR przez współczesną Rosję.

Zapewne wiele pytań, które stawia Cywiński, znajdzie niedługo odpowiedź w naukowych analizach. Jego niewielka książka wpisuje się do dialogu kultur i narodów, którego obecnie jesteśmy świadkami. Pisząc z pozycji Polaka, katolika nie zapomina o najważniejszych przesłaniach humanisty: otwartości, tolerancji i konieczności zrozumienia innych.

Robert Traba, Warszawa

Bohdan Cywiński, *Mój kawałek Europy*, Warszawa, Presspublica 1994

W kręgu kultury Orientu

KARAIMSKI POETA Z HALICZA

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł Haliny Kobeckaité "Duch legendarnych przodków" o karaimskiej poezji na Litwie ("Z.W.", 3/95). Od dawna interesuję się mieszkańcami Orientu na terenach dawnej Rzeczypospolitej — Karaimami, Tatarami i Ormianami, których potomkowie mieszkają na Litwie, Białorusi, Ukrainie i w Polsce. W odróżnieniu od Litwy czy Polski, na Ukrainie wnikliwych badań, dotyczących Karaimów nie prowadzi się. A przecież w Łucku i Haliczu do dnia dzisiejszego mieszkają jeszcze potomkowie Karaimów. Tak się złożyło, że po trzecim rozbiore Rzeczypospolitej, Karaimi z Litwy, Krymu i Łucka okazali się w Imperium Rosyjskim, zaś Karaimi z Halicza — pod zaborem Austro-Węgier. O ile mi wiadomo, kontakty między Karaimami z Podkarpacia i ich rodakami w innych krajach w tym okresie były bardzo luźne, chociaż z Karaimów halickich pochodzi niemało znanych ludzi. W Haliczu (obecnie obwód Iwano-Frankowski) zostało tylko kilka rodzin karaimskich, ponieważ większość w ramach powojennej repatriacji wyjechała do Polski. Pozostali w Haliczu Karaimi do dziś pamiętają legendę o swoim znalezieniu się w tych stronach. Podobno chan tatarski Batyj zapędził wielkie plemię karaimskie do swojej stolicy Seraju na Krymie, gdzie w niewoli przebywali i Rusini z Halicji. Pewnego razu przyjechał książę halicki Danił. Chciał wykupić z niewoli braci po krwi. Szczęrym złotem płacił za każdego Rusina. I kiedy wykupieni z jasyru ludzie szczykowali się do powrotu w ojczyźne strony, podszedł do księcia przywódca

karaimski i zaczął bardzo prosić, by i jego ludzi wykupił z niewoli, obiecywał, że wiarą i prawdą będą służyć oni księciu. Daniło zgodził się...

Około 700 lat na ziemi Podkarpacia żyją potomkowie sprowadzonych z Krymu Karaimów. Właśnie z Halicza pochodzi Zachariasz Abrahamowicz, niesłusznie zapomniany poeta karaimski, któremu prorokowano wielką przyszłość. Tworzył w trzech językach — karaimskim, polskim i ukraińskim. Niestety, o jego życiu i twórczości wiemy tylko zdawkowo. Twórczością poety interesował się ukraiński badacz Stepan Puszik. Z górą dwadzieścia lat temu w ukraińskim czasopiśmie "Zouten" opublikował kilka jego wierszy w przekładzie z niewielkim artykułem wprowadzającym. Jest to, o ile mi wiadomo, jedyna powojenna publikacja o tym utalentowanym Karaimie.

O życiu i twórczości Zachariasza Abrahamowicza wiemy niewiele. Urodził się w 1878 roku w rodzinie chłopskiej. Rodzice przyszłego poety zrobili wszystko, by kształcić syna. Uczył się w gimnazjum w Stanisławowie (Iwano-Frankowsk), lecz "za nieposłuch" został wydalony z drugiej klasy gimnazjalnej.

Ówczesni mu odnotowali, że wiersze "lały się" z serca młodzieńca — na polu, podczas sianokosów — wszędzie, gdzie tylko nie był. Poeta najczęściej po prostu ich nie zapisywał. Praktycznie nic nie wiemy o jego służbie w wojsku cesarskim. Tyle tylko, że nabawił się tam gruźlicy, która w rozkwicie wieku sprowadziła 25-letniego poetę do grobu. Został pochowany na cmentarzu karaimskim we wsi Grobiska, w pobliżu Halicza. Było to 6 maja 1903 roku. Jeszcze za jego życia wiele wierszy halicki karaim śpiewał jako pieśni. Zachariasz Abrahamo-

wicz na karaimski tłumaczył też z polskiego, ukraińskiego, niemieckiego... Za życia nic nie ukazało się drukiem. A i większość napisanych przez Zachariasza Anrahamowicza wierszy bezpowrotnie zaginęła. Kilka zeszytów z odręcznie przepisanyymi strofami ktoś z halickich Karaimów-repatriantów wywiózł do Polski. Do dziś ich nie odnaleziono... Jedyny źródło przybliżające nam poetę — to ukazujący się w latach 30. w Łucku almanach karaimski "Karaj Awazy" ("Głos Karaima"). W jednym z numerów zamieszczono 12 wierszy Abrahamowicza. Na ich podstawie możemy twierdzić, że był to utalentowany twórca, patriota swego narodu, piewca cudownej przyrody karpackiej i sędziwego Halicza, który stał się dla Karaimów drugą ojczyzną.

Roman Parylak



Fot. Archiwum

Zachariasz Abrahamowicz

Karaimem jestem

Nie umiem na tym świecie żyć w niemocie.
Chcę światła, ciepła i szczęśliwych lat.
A — żem Karaim — żadna ujma cności:
Tak matka mnie przywiodła na ten świat.

Powitam każdy życia dzień na nowo
Głosząc pochwałę bieżącego wieku.
Jeżeli ojców raz zgubiłeś mowę,
Imieniem ludzkim nie mień się, człowieku.

Z ojczyznej niwy plon obfity zbierzmy.
Oddajmy, w każdej pamiętając chwili,
Temu, co obce — szacunek należny,
Abyśmy swoje kochać potrafili.

Nauka — zapowiedzią nowych dróg.
W oświacie niechaj wiosna nasza będzie.
U innych można znaleźć przykład wszędzie,
Jak dojść do swego, jak pokonać próg.

Roznieśmy ogień, co rozproszy cień.
Niech nas prowadzi w przyszłość jasną
Szeroki szlak.
W tym oto życia sens i moje hasło.

Z karaimskiego na ukraiński tłumaczył:
Stepan Puszik.
Przekład z ukraińskiego:
Wojciech Piotrowicz.